

GOSPODA · POETÓW

MIESIĘCZNIK POETYCKI

Zeszyt 1. **Październik, 1920 r.**

Życie współczesne jest krzykliwe. Rozgwar dnia powszedniego, huk armat dochodzący z frontu, gorączka giełdowa wielkich miast, zgiełk partyjnych kłótni, patos patrjotycznego tam-tamu — zagłusza czysty i mądry głos Apollinowej harfy.

Poeta taki, jakim go stworzyło przeżyte wczoraj — staje się zbędnem i bezużytecznem narzędziem.

Poezja dnia wczorajszego — jest tylko poezją dnia wczorajszego. Życie wrzuciło ją do lamusa rzeczy przeżytych i mało się o nią troszczy. Jeszcze kryje się ona na zapomnianych poddaszach, jeszcze jej głos sentymentalny rozlega się nieśmiało po białych dworkach, jeszcze jest ona tolerowaną na imieninach u aptekarza w Koziej Wólce.

Ale jej głosu nie usłyszycie już na ulicach wielkiego miasta, na placach publicznych, w dzielnicach robotniczych, w Sejmie, na dziedzińcu koszarowem, w fabryce lub sklepie...

Życie — wyprzedziło Poezję!

Dzień dzisiejszy — jest twardy i bezwzględny dla poetów dnia wczorajszego.

Cóż stąd — że uszli oni w ciszę swej samotności? Cóż stąd — że głoszą oni światu swój testament, który jest martwą literą dla społeczeństwa? Cóż stąd — że drukują oni książki, których nikt nie czyta?

Dzień dzisiejszy, życie współczesne, nie potrzebuje ich, tak samo zresztą, jak nie potrzebuje staromodnych karoc i wasągów, gdy jest automobil i aeroplan.

Życie współczesne — czeka dopiero na swoich poetów, którzy idą. Którzy dopiero idą!

Dla nich to właśnie otwieramy naszą „Gospodę Poetów“.

Pod jakimże-to sztandarem i w imię jakich haseł skupiać ma „Gospoda Poetów“ — ludzi kuszących się o wydobycie nowego tonu z Apollinowej Harfy?

To pewna, że jako polacy, możemy się jedynie zaciągnąć pod sztandar Wolności. Wolność — jako najszerzej pojęta ideja polska — ma być tym cementem spajającym najsprzeczniejsze i najbardziej krańcowe jednostki twórcze.

Jako poeci polscy, nie uznajemy innego sztandaru. „Gospoda Poetów“ nie ma być bowiem kapliczką tej lub innej sekty literackiej.

W „Gospodzie Poetów“ znajdą dla siebie miejsce wszyscy, którzy szukają szczerze nowej formy, bez względu na to, czy są oni duchowo bliscy sobie, czy nawet wzajem się zwalczają.

„Gospoda Poetów“ ma stać przy wielkim gościńcu nadchodzącej poezji dnia jutrzejszego i być tem pierwszem miejscem wywczasów i wzajemnego poznawania się ludzi nowych.

Zaręczyć przeto nie możemy, że wszyscy, którzy do „Gospody Poetów“ zawitają — będą to ludzie wielkiego talentu. Zapewne będą i tacy. Ale będą i inni, którzy zabłądzą tu w słotny wieczór polskiej jesieni, zwabieni ciepłem, światłem i gwarem biesiadnym, ludzie przygodni, o których najchętniej dzień jutrzejszy zapomni.

Jeszcze innych znowu zwabi powiewający nad „Gospodą Poetów“ sztandar Wolności, na którym takie oto wypisujemy hasło:

„Wszystko — jest dla nas Poezją!“

Współczesnej poezji polskiej brak własnego tonu.

Do Was, Poeci nadchodzącego dnia, zwracamy się z gorącym apelem: Szukajcie nowego tonu! Szukajcie nowego wyrazu! Szukajcie nowej formy! Szukajcie samych siebie!

„Gospoda Poetów“ stoi przed Wami otworem. Glejtem do niej jest tylko talent. Tu znajdziecie zawsze wdzięczny teren dla eksperymentowania w dziedzinie twórczości poetyckiej. Każdy szczery odruch, każde poszukiwanie kierunku, każdą pracę twórczą — poprzemy! Poprzemy gorąco!

I do ciebie, społeczności polska, tych słów kilka przesyłamy: Zapomnij na chwilę o zyskach, bissnesie, pasku, operetce, polityce i ciastkach.

Posłuchaj, co mówią twoi poeci.

Postaraj się ich zrozumieć.

Zasmakuj w dobrym rymie i ciekawym rytmie.

Pojmij tę oto niezłomną prawdę: jeden dobry wiersz — usprawiedliwia istnienie tysiąca „zjadaczy chleba“.

Pojmij, że poezja jest głosem twego sumienia, którego nie zagłuszy brzęk kieliszków ani szelest banknotów.

Staraj się tedy mieć czyste sumienie.

A wówczas Poezja stanie Ci się najmilszą towarzyszką życia.

SZTUKA NA ULICĘ.

I.

Wzmaga się sztuki głód.

Rozchybotało się ludzkie mrowie:
robotnicy, wojsko, kupcy, bandyci —
ku sztuce wyciągają niesyci
znieobecniałe tęskliwością twarze,
ramiona.
O, kędyż jest ona, naszemi
zamkniętemi oczyma wymyślona,
roznosząca piorunowe wici
na nowe wszechmożne wstrząsy, na trud?

Znienawidziliśmy jednostajny młotów motyw,
rozpaczny świst lokomotyw,
pędzących w bezjutrze.
Oddechy nasze coraz cięższe, krótsze,
coraz łapczywiej nas chandra żre,
wymordowywuje „spleen“.
Przy kasach teatrów, wystaw, kin,
pięściami walczymy o kupno biletów,
o sztuki zjawę, o jedną z jej złud,
i potem
głodni opuszczamy katedr jej mury,
rzuciwszy na ołtarze jej złotem,
zdobytem nieraz przez ciężki trud.

Wzmaga się w rzeszach przeponury,
coraz możniejszy sztuki głód.
Sztuka, od wieków więziona w szatławie,
więziona w podwałach, więziona okrutnie,

nocami w bezkresy pogląda z wież,
gwiazdom dalekim skarży się łzawie,
w żgliwej, w dojemnej, w piołunowej męce —
szlochem wybucha... Boże! łamie ręce...
O kiedyż wrócisz królewną do rzesz.

Strzegą jej przeohydne paszcze
umarli duchem i poezją purpuraci,
orszak kloców zwarty, zły,
zawistliwce, odznakami zaszczytów przebogaci,
bazyliszkowe ślepia, wilcze kły,
laureaci-sutenerzy i laureaci-autokraci.

Strzegą. A gdy w rzeszy się szerzy
śmiertelny sztuki głód,
wtedy owi laureaci-sutenerzy
zakneblowują sztuce usta,
by krzyczeć nie mogła swej pogańskiej tęsknicy,
serce jej wyjmują, by pierś była pusta,
na policzki kładą róż
i wyprowadzają na róg ulicy,
gdzie handel ciał, gburstwo i rozpusta.
Cądraj się między opilce rube,
pomiędzy zbrodnią i hołotą,
pieść, za pocałunki swoje bierz złoto,
niechaj się tobą gburstwo, rozszasta, —
zarabiaj, zarabiaj na własną zgubę,
na naszą cześć, na pochlubę,
na nasz rząd dusz i miasta.

A gdy głodu sztuka nie syci,
gdy tej wolnej, wolnej sztuki głód wzrasta —
i wstają o lnianych włosach, o oczach bławych
na bój o własne marzenia i wizje
nowych pokoleń dywizje,
poezji nieustraszone heroje,
i idą sztuce naprzeciw, jak naprzeciw wiośnie,
niosące dla niej radośnie
na dłoniach serca swoje,
—wtedy laureaty-autokraty,
ujrzawszy młodych przez wizerów kraty,
harmaty
swych autorytetów stawią w turm wyziory,
we wszystkie kierują ulice
swych estetycznych doktryn kartaczownice
i koszą młodych łan, jak zboże,
że kulis, że wystaw, redakcyj podnóża
zalewa trupów morze,
jedna wielka krwi kałuża,
dymiąca o pomstę do nieb.

Wszystkie Apolliny i Kuślarze,
patrzące na bitew tych żrzeb,
w głąb gwiazd we zgrozie odnoszą twarze.

Dziś śród grodu
głód wzrósł do wszechmocności.
Daremne wszystkie zabiegi i trudy —
i te bezmyślne karły, zwierzoludy,
przedrzeźniające sztukę małp i papug gestem,
już słychać szelest skóry i kości,
już widać ludzi puchnących z głodu.
O, rzeszo, to śmierć śród grodu
mówi: jestem!

II.

Nuże jokulatory, malarze, aktory,
coście wzięli na się tęskność i kolory
sztuki, tej waszej najjaśniejszej księżny,
czyn sięgajcie niedosiężny,
czyn zuchwałością mocny i mężny,
rozwalcie ślepych turm zawory.

O, laureaci naturalistycznych poem,
o romantycy, coście w głupiej dziewce
utopili wszystkie światy, o nędzy swej piewce,
bonmotów, paradoksów dygnitarze,
sentymentaliści, opiewający bzy i Lunę....
Na zbity pysk, dziady, pachciarze,
psiakrew.... bo lunę!..
O, bazyliszki, sutenerzy sztuki,
oto się kończy dziś wasz teror krwawy
i sutenerskie wasze dzieła.
Heroizm poezji znów włócznią migoce,
w archiwa, w próchno, w muzea,
nawznak powala waszych powag kloce.
Jeszcze wolność sztuki nie zginęła!

Czeka jej niecierpliwa ludzka rzesza.
Miljon serc żywych ku niej wyskoczy,
jak groch posypią się ku niej oczy,
dłonie już łamią tekturę i drewno
i pójdą przyjąć od niej kęs chleba,
miljony gardeł rzuci okrzyk w nieba:
O, witaj polska królewno!

Hej, na ulicę, sztuko!
Na ulicę wyruszyły obrazy z pracowni,
na szare przedgrodzia, kolejowe dworce,
na ulice, na rynki, hej, w cyrków okoły,

rozwaliwszy zmurszałe doktryn ostrokoły
wyszły teatralne zespoły,
poeci podnieśli bitewne proporce,
swych haseł słonecznych stawice,
na ulicę, na ulicę —
muzyków chóry, literaci, publicyści
ruszyli i mówią rzeszy o tem,
co dziś w niej się iści.

Ulica się rzeszą pełni po krawędzie,
płynącą z suteren, z poddaszy, z wszechkątów,
ulica sztukę sławić chce, strzedz będzie
jej Monsalwatu przez tysiące rontów,
tę wielką sztukę, głoszącą orędzie
najbezkreśniejszych twórczych horyzontów!

Radosław Krajewski.

C I E N I E.

Ten dzień, jak czara z szafirowego kryształu,
W którą srebrzyste wino leje się pomału —
Dzień, który rynny skręca w węże szczerozłote,
Cienie drzew lazurowi, pszczół szmerną robotę,
(Kiedy skrzydło przy skrzydle wśród narcyzów buja!)
Rozgwarza w pieśń liryczną, w modre alleluja —
Ten dzień zastał mnie z duszą posępną i ciemną....
Dwa cienie nieopodal widniały przedemną:
Cień matki, która postać ku dołowi zgina,
Aby z ziemi miłośnie podnieść dziecko-syna —
I małego dziecięcia wyciągnięte ręce...
Dołami suchych oczu na ten obraz w męce
Spoglądałem obliczem cierpki i zdrętwiały,
Aż źrenice mi pękły i łzy się polały,
Aż krew z serca chlusnęła, rozdzierając ranę
I przez palce trysnęły łzy ze krwią mieszane,
Aż nie mogąc znieść duszą lazurów widoku
Przywaliłem się cały ciemną górą mroku....

Leon Choromański.

POZNAJ MNIE CZYTELNIKU!

Znudziły mi się wiersze poprawne,
Poprawne, jałowe, bezbarwne,
Wiersze liryczne
Wylizane, jak cielęta przez krowę...

Znudziły mnie tematy antyczne,
Żale romantyczne,
Robione, sztuczne nastroje,
Rymy wyszukane,

Sonety, ballady, oktawy,
Ronda, triolety, sekstyny...
Półcienie, półdźwięki, refleksy —
Precz z tem — do djabła!

C h c ę s t a w i a ć k l e k s y!

Znudziła mi się ludzka mowa,
I ten nadęty patos stylistyki —
Gdy się od tygodnia nie jadło,
A trzeba iść zwycięsko do ataku
I brzuch nadziewać własny
Na błyszczący rożen wrogiego bagnetu...

P s i a k r e w!

Jeślibym znał mowę psów —
Tobym szczekał!
Jeślibym był kogutem —
Piałbym!
Jeżeli osłem —
Ryczałbym dziko!

Cóż stąd, że jestem człowiekiem?
Człowiekiem w marynarkowem ubraniu,
Który jada przy pomocy widelca i noża,
Który nos wyciera w chustkę batystową...

Człowiek może
W psów szczekaniu,
W koguta pianiu,
W dzikim osła ryku — —
Odnaleść S ł o w o
B o ż e!

J u ż z n a s z m n i e c z y t e l n i k u?

Xawery Glinka.

K L I J E N T K A.

O jakże piękna jesteś, jakże piękna,
Jaka pachnąca, młoda, elegancka!
Jak się uśmiechasz poziomkami —
Jak tańczysz cała idąc —
Tańczysz biodrami i nogami — —

Może jesteś wielką artystką?
Może kochanką albo żoną
Paskarza, radcy lub bankiera?
Kto ubiera cię i kto rozbiera?
Służąca w białym fartuszku?
A może
Ściele ci wonne łoże
On sam: mąż tkliwy lub kochanek?

Oto idziesz ulicą,
Jasną ruchliwą ulicą —
Oto idziesz Krakowskiem uśmiechnięta,
W świeży wiosenny poranek,
Gibka, młoda, ponętna — —
Z ukosa spozierasz w okna sklepów:
Te brylanty u jubilera,
I ten kapelusz z paradizą —
Dla ciebie, dla ciebie Markizo!
Oto mijasz, mijasz wielkie witryny,
Mijasz wyniośle przechodniów,
Kłania się tobie ten i ów — —
I idziesz w wielką perspektywę ulicy
Na spacer...

A gdy przechodzisz koło sklepu,
Nad drzwiami którego jest czarny szyld,
Jest czarny szyld z białym napisem:
„B i u r o P o g r z e b o w e“,
Z za stosu trumien i wieńców
Wybiega ku tobie spojrzenie,
Spojrzenie złe i łakome
Właściciela sklepu,
Który wie, który dobrze wie,
Że wcześniej, czy później, wcześniej, czy [później —
Zostaniesz jego klijentką — —

Więc mierzy cię tęsknem spojrzeniem
Od stóp w lakierkach do różowego [kapelusza...
Zaś w umyśle biegle oblicza
Stosunek marek do ilości centymetrów
Twojej pachnącej postaci...

Tego sklepu nie miniesz
Piękna, pachnąca i młoda!
Wcześniej, czy później, wcześniej, czy [później
Zostaniesz jego K l i j e n t k ą...

Xawery Glinka.

ZIELONA FURTKA.

Zielona krata furtki wstrzymuje rozpęd ulicy,
Rozbija się o nią na płask masa ludzi i koni,
Tworzy się zator ciał, mózgów najtęższych stolicy,
Ociekających krwią, drgających w żywej agonji...
Żelaztwa, resorów, kół powyginanych w elipsy,
Rowerów, motorów, psów, dorożek, posłańców, kokot — —
Miazga wilgotno-krwawa potwora z Apokalipsy — —
Rozpłaszczona na trotuarze,
W słońca skwarze
W drgający barwą ostrokąt...

Za furtą, za furtą zieloną
W ogrodzie trawę skoszono — —
Tak pachnie, tak pachnie siano
Świeżo, wilgotnie, rumiano...

Za kratą, za kratą zieloną
J e s t t a k, j a k b y ł o s ą d z o n o,
Jest tak — jak jest, nie inaczej!
Któż pojmie i któż wybaczy?

Pośpieszny do Krakowa wychodzi o siódmej rano...
Lecz to za blizko, za blizko — trzeba wyjechać na Jawę,
Potrzeba kilku wieków, aby zapachło znów siano — —
Trza serce w morzu wykąpać — serce samotne i krwawe!

Otwieram zieloną furtkę i puszczam hołotę
Na trawę...
Niech hasa, niech tańczy fox-trotty — —
Niech ma zabawę!

Xawery Glinka.

POLSKO!

Polsko, Ojczyzno moja,
słodyczy pełna
zbożnych niw i sadów —
bądź pozdrowiona!

Czaro, pełna słodyczy,
w której się zdradnie
czają męty jadów
na dnie
bądź uzdrowiona...

Ojczyzno moja!
Że kleszcze gadów
wkrąg ciało Twoje, krwią broczące, dławią —
bądź zbawiona!

Henryk Juszkiewicz.

KUSZENIE ŚW. ANTONIEGO.

Na szaleństw moich kwiaty — w miłosnym pocałunku
przylgnęły wąskie wargi —
i, upojone jadem skorpionowego trunku,
schną, jak grek ssący nargil.

W panicznem przerażeniu—na bladych wrzosowiskach —
złożyłem puch modlitwy, —
jak dziecko ukochane — zdaleka albo zbliska —
w czas bohaterskiej bitwy.

O, gędź mi, gędź katedro z powykręcanych jodeł,
utul me sny o wiośnie —
tą ciszą obumarłą, płynącym z sosen miodem,
blaskiem, co pada skośnie.

Dlaczego wąskie wargi napadły na mnie nagle,
zdmuchnąwszy pyły kwietne,
dlaczego zatargały, jak wicher wątłym żaglem,
budząc przekleństwa Etnę!

Nie znam różowych piersi, ani warg nie znam wąskich,
jawiących się, jak widmo, —
wśród czterech ścian zamkniętych, na kartkach starej książki
nie widzę cię, Echidno!

Edward Kozikowski.

POCHÓD INWALIDÓW.

Milcz, i w modlitwie ukórz wstyd
[i nędzę —
przed czarnem słońcem wzniesionej
[chorągwi,
lub sznur konopny zawiąż w mocny
[węzeł,
by nie zdmuchnęły cię nocne przeciągi.

Czołgaj się w prochu, bo oni szli tędy —
cementowemi schodami świątyni, —
nie Herkulanum, ani nie Ateny,
gdzie depce księżna albo margrabini.

O jednych nogach sunących miarowo,
o jednych kulach tłukących zawzięcie —
melodję starą, ale nigdy — nową
która zwiastuje przedwczesne nieszczęście.

Kto był w Brazylji, albo na Jamajce,
i widział rzeczy niewidziane w Polsce,
i kto się w Wiedniu mógł zachwycać
[Kaintzem
światów nie znajdzie w tej cudnej
[drobnostce.

Miarowy tupot nóg i kul stukanie,
jakby telegraf pracował od świtu —
uszminkowaną duszę mą rozaniel
rumieńcem wstydu i ciszą zachwytu, —

bo lepiej przecie w milczeniu swą nędzę
zamknąć, jak w kufrze bladego rekruta,
niż sznur konopny, zawiązany w węzeł
obnosić wszędzie ze szczątkami buta.

Edward Kozikowski.

Z G O N L I Ś C I A.

Bez łez—liściu—na szarego trotuaru bruk,
w lepkie błoto.
Może w chwili twego zgonu rozlegnie się
pęknie kocioł!...   [huk —

. . . .

Pocoś liściu się odrywał od macierzy pnia
pod fabryką,
która trzeszczy beznadziejnie w nocy
jak wehikuł.   [i za dnia,

Troje ludzi poranionych do szpitala sal
zwiózł samochód.
czemu tobie, żółty liściu, życia było żal
w ulic lochu?

Lepka cię okryła warstwa trotuaru błot—
bez wspomnienia.
Czemu dziecię cię swawolne nie
gdyś umierał?   [schwytało w lot,

Edward Kozikowski.

POETOM ZMARTWYCHWSTAŁEJ POLSKI.

Wciąż oto tak przemawia do mnie
płomienny jakiś z wewnątrz głos,
że oczy patrzą nieprzytomnie,
a serce w pierś, za ciosem cios
zadając, kuje pierś człowieka.

Głos woła:
— Uznaj — przejrzysz błąd.
Bo czas nadchodzi, czas nie czeka...
Porwany skrzydłem Morza, Ląd
w Ocean Nieba mknie obłocznie
i ostateczny nad nim Sąd
już wkrótce, wkrótce O n rozpocznie.

Głos mówi:
— Nadszedł cudów czas...
Na piaskach pustyń len zakwitnie
i wstanie i zaszumi las
z fal, które śmieją się błękitnie...
A tyś w ogniwa tej przemiany
włosami grzesznej duszy wplecion,
jak w wir potężnych jakichś wrzecion,
na których przędzie — N i e n a z w a n y.
Więc masz z miłości wszystkiej zwić
jedyną nić, słoneczną nić,
i we wrzeciona te ją wpleść,
byś mógł i ciało za nią wznieść...
Jak plewę zbóż, otrząśniesz błąd
i porwiesz Morzem duszy Ląd
cielesny, aby mknął obłocznie
w Ocean ducha, na ów Sąd
który się wkrótce już rozpocznie.

Głos szepce:
— Wiem, mój synu, wiem:
niewiara w tobie męska czyni,
że P r a w d a zdaje ci się snem,
aczkolwiek jesteś już w świątyni...
Twarz Magdaleny trzeba mieć
grzesznej, a wiarą uśmiechniętej,
co do stóp Pańskich padła w pył
i przełzawiła go w djamenty...
Lecz mąż, co serce miał, jak miedź:
Tomasz, najpóźniej zbawion był.
Więc najpierw męskość swej niewiary
w pokłonną wierność przekobiecisz,
wino miłości, jak do czary,
do serca wlejesz i — rozniecisz.
I weźmiesz serce w drżące palce,
aby je ponieść w wielki świat,
gdzieś w nierozumnej z duchem walce
na świętych łąkach zmierzwił kwiat...
I bądź podobien... lecz — westalce.

Dziewiczość swą odzyskasz znów
i z dziewiczości poczniesz tej
dzieciątko: siebie z dawnych lat...
Na dziecko wino z serca zlej
— to będzie w Imię Ducha chrzest —
i jako dziecku — sobie mów,
słowami siostry, z wiarą matki,
że Pan Bóg był, że Pan Bóg jest...

I zamiast kwiatów — ujrzysz: kwiatki,
zrozumiesz tan motyli w kółko

i w takt jaskółczej pomkniesz pieśni
niewiedzieć kiedy — wraz z jaskółką...
Dusza-ć wypolni się, wyleśni,
oniebi sobą wszystko wkrąg
i słodycz czynu będziesz z rąk
otrząsać, niby grad czereśni.

A wtedy powiem:
— Stań się Mężem
i z Orłem Polski ducha zwiąż...

I z dziecka wzleci: Orzeł — Mąż.
I, jakeś walczył już orężem,
o Polskę będziesz walczyć duchem.
Wielmożnych skrzydeł dzielnym ruchem
od kwiatów wzbijesz się do gwiazd
i będziesz leciał nad pacierzem
twych wsi i wielkim płaczem miast,
rycerskiem Polsce szumiąc pierzem...

I Lud twój wstanie — Wielki Piast —
ze wszystkich ziem, jak z jednej wioski,
aby zawiesić twoją pieśń
na pierś, jak ryngraf Matki Boskiej.

Eugeniusz Korwin-Małaczewski.

TANIEC POEZJI.

Z źrenicą, w której słońce, niby w miodzie,
[płonie,
W ciemnym—pod skórą spaloną—rumieńcu,
W ognistej zasłonie
I kruczych włosów wieńcu,
Przebiegła, jak żagiew, pod murem
I stanęła w najciaśniejszej ulicy.

Otoczyły ją plotkarskie rudery,
Gadatliwe otoczyły ją bramy,
I szczerzące się po bramach numery,
Dorożki, miotły, psy,
Urągając jej zgrzytliwym chórem,
Urągając: „nie chcemy, nie znamy!“

Mam ją wyminąć w tłoku,
Gdy nagle zaczyna tańczyć.
Patrzę: z wzniesionych dłoni
Strzelają skry
I rozpylają się w gwiezdnym obłoku.

— Czy z głuchego pustyń uroczyska
Błędny ognik zleciał i tak błyska?
... Wir bursztynów, warkoczy i rąk,
Łyskających zębów, oczu, ust,
I płomiennych, łopoczących chust
Uroczny krąg...

— Czy to zorze we dnie dzisiaj płoną
Wielką łuną złotą i czerwoną?

Ludzie idą, mijają
Zgiełkliwą zgrają...

— Czyście, bracia, widzieli, słyszeli,
Śmiech radosnych, srebrzystych maneli
Na brunatnych stopkach tanecznicy?
Czy wam tętnił i bębnił trjolet
Wirujących, dzwoniących bransolet?
Czemu coraz mniej was na ulicy?

Rozstępują się domy, przykucnęły wokoło,
Poszeptały... podreptały... odchodzą.
Turkot dorożek zagasa.
Zamiatane opadają kurze.
Przewiew oplata mi czoło.

Pomiędzy płytami chodnika
Wykwitają purpurowe róże,
Śród róż zaklęte, złote ptaki brodzą.
Powietrze przenika
Tajemna krasa...
Wyśniony czar
Nawiewa upalne wonie,
Przeloty mar
I ptaków roje,
Nawiewa morza buntownicze tonie,
Aby lizały stopy tanecznicy...

U niebios szczytu,
Bije, bije dzwon!
Ze wszystkich świata stron
Przybiegają obcy wędrownicy,
Przylatują bujne nieukoje
Wielką burzą, jak orłowie dzicy,
I śpiewają lament wiekuisty!

W powietrznej fali błękitu
Niesie się tanecznica, jako wir ognisty,
I nagle staje, by olbrzymim gestem
Zerwać zasłonę:

— Słuchajcie, wichry, morza, nieba,
Oto jestem. [wszystkie światy!
Daję wam włosy, wonne myrrą słodką,
Które pustelnik wysnuł ślepą nocą
Z cierniowej korony mąk.
Daję błysk zębów, co w słońcu migocą,
Jak Judaszowe srebrniki.
Daję wam usta me rozpłomienione
W uśmiechu,
Daję wam oczy miodne, oczy grzechu,
Gdzie śpi zaklęta wina.
Daję wam kibić sprężystą, a wiotką,
Całego ciała pląs zawrotny, dziki,
I stromych piersi kwiaty,
Rzeźbione we śnie o zmarłej...
— A ty, człowieku nieznany,
Posiądź Talizman — Czar:
Dziecięce, czyste, ufne serce moje,
Zrodzone z miłości!"

Nad tanecznicą fale się zawarły
Girlandą piany.

Odchodzę, niosąc najcenniejszy dar.
Odtąd do życia powołan z nicości
Poeta.

Marja Niklewiczowa.

KOTY.

Widziałam dzisiaj białego kota.
Widziałam kota w oknie u kupca,
na stosie młodych, czerwonych rzodkiewek
siedział, i lizał kosmatą łapę
porosłą krótkiem, gęstem futerkiem.

Widziałam wczoraj burego kota,
leżał za oknem w pralni
na poskładanych, czystych kołnierzykach,
i spał.
Próżno pukałam palcem w grubą szybę,
nie chciał otworzyć oczu.

Widziałem kiedyś czarnego kota:
siedział na progu cukierni.
Chciałam przemówić najczulszemi słowy,
żeby go jakoś zainteresować —
uciekł.

Gdzie tylko ruszę się, tam widzę koty,
bure i czarne, łaciate i rude,
dziwnie panoszą się po całem mieście,
siedzą w cukierniach, na kontuarach
[sklepów,
śpią po piekarniach na bułkach i chlebie,
senne się wiją za szybami wystaw,
rączo biegają w barach pod stołami —

Jakżeż bym chciała mieć kota!

Wanda Melcer Rutkowska.

ZŁOTO.

Spadek waluty i skoki pieniądza,
świstki papieru, które nic nie znaczą,
zadrukowane w fantastyczne znaczki,
setki miljonów, stwierdzone podpisem
najzaufańszych w całem państwie osób:
czyż nie stwierdzają wyraźnie wartości,
co poza ceną rzeczy się ukrywa?
Wierzysz już teraz, że kasza i mąka,
drzewo i węgiel, sól, zwierzęce skóry,
mają swój ścisły jakiś odpowiednik,
jako wartości niezmienne i stałe,
w wojennych burzach, straszliwych
[przewrotach,
w huku piorunów, co świat zapalają?
A czemuż, ślepy i głuchy człowieku,
nie chcesz uwierzyć że prawda i mądrość
i sprawiedliwość między niemi trzecia
są właśnie stałą tą wartością, złotem,
co przez krzykliwe hasła przemijania
świeci, jak ciche i wieczne milczenie?

Wanda Melcer Rutkowska.

Z POEMATU SYMFONICZNEGO.

U DNIA, KTÓREGO NIE ZNAM, STOJĘ BRAM —

spisanego na liściu klonu srebrną dłonią księżniczki Astralu Inki Tödwen.

Pieśń Pierwsza.

U DNIA, KTÓREGO NIE ZNAM, STOJĘ BRAM
— przed sobą stoję — w drżącym sam na sam
u wrót umarłych gwiazd —
— a oto świt
— przeczucie świtu — jak bajka, jak mit —
spala się złotem — —
— — w jawie to, czy śnie
gwarzyły o tem mchem brodate pnie
w ojczystym borze — kiedyś — dawno — gdzieś —,
że wśród gór skryta, zapomniana wieś
zbudzi się nagle, zerwie, zadmie w róg,
że oto SŁOŃCE wstaje! ZRODZON BÓG!!
— — — — — — — — — — — — — — — —
skąd ten dzwonu głos? — skąd ten dzwonu głos
idący ścieżką brylantowych ros —? —
olbrzymie łany pszenic, owsów, żyt
kłonią się nisko —
— cicho — cicho — cyt.....
— ptak się przebudził — ożył mroczny las,
szumią gałęzie — strąca rosę głaz —
aż zewsząd, zewsząd — od dolin do gór
wszczął się — i rośnie — i pogrzmiewa chór — —
— wiążą się strofy w wielkanocny psalm
— płoną oazy uskrzydlonych palm
— zatocza stawów, śród jezior i mórz
wprzęgły pogłosy w rozśpiewanie głusz —
— tak rośnie Pieśń! — PIEŚŃ!! —
— u nieznanych bram
przed sobą stoję — w drżącym sam na sam
u wrót umarłych gwiazd —
— wzmożony trud
woła z otchłani powstający cud
ono Afrodis narodzenie —
— ŚWIT
— przeczucie świtu — jak bajka, jak mit
spala się złotem —
— snem zamkniętych ócz
snuje się powieść; zagubiony klucz
z dna się wysrebrza, jak jutrzejszy nów —
na wargach zmiera dźwięk pieszczących słów —
jeno — tam — serce w złotą bije stal,
jeno się włosom wichr śni, halna dal,

jeno się ręce prężą do tych pól
i mową palców spowiadają ból
umarłym gwiazdom —
— za gwiaździstem tłem
już śmierci niema, a jawa jest snem
a jawą sen — —.

Pieśń Jedenasta.

POŚRÓD POROSTÓW, ZATOK, MIELIZN, RAF —
mkną białe łodzie — wiozą brzemię spraw
najprzeróżniejszych: tych, co były już
i tych, co będą — pod powałą burz,
lub w blasku słońca —
— lśni perłowy ster,
jak dźwięczny klawisz organowych sfer —
— każda łódź tonem — śpiewa, gra i drży
elipsojdalną zjawą gwiezdnej skry —
— — — — — — — — — — — — — — — —
czyli to gwiazd odbicie —? —
— czy tych dni,
które tak bardzo ukochałem w NIEJ —?
czyli logogryf utajonych praw —?
— — — — — — — — — — — — — — — —
pośród porostów, zatok, mielizn, raf —
mkną białe łodzie — —
— — tęsknię —
— z moich lic
opada maska —
— szelest — cisza — nic,
nic się nie dzieje; — zdarzeń prysnął krąg —
jeno drżą dłonie zanurzonych rąk,
jeno się oczy w morską wklęły głąb,
jeno wyraźniej zalśnił lądu wrąb
na widnokręgu —
— śród mielizn i raf
mkną białe łodzie —
— poprzez widmo zjaw
myśl się przerzuca —
— zamilkł nieba step
skreślony siecią ołowianych krep;
z poza wzgórz czarnych, puszcz, pustyń i głusz
fosforyzuje pierwsze słowo zórz
w rym niezwiązane — —
— — zsrebrza się rytm miedz —
— ach, jakże chciałbym raz — jeden — raz — biedz
tak jako ongi śród rozchwieji zbóż,
żyt, pszenic, owsów — —
— — tęsknię —
—, a więc cóż,

cóż dziś urodą godzin, dni, czy chwil —
po ubieżeniu znojnych setek mil
śród wrzaw i krzyków? —
— tęsknię —
— z moich lic
opada maska —
— szelest — cisza — nic,
nic się nie dzieje —
— śród mielizn i raf
mkną białe łodzie — wiozą brzemię spraw
najprzeróżniejszych — — — — — — — — — —
— — — — — — Słońce wzejdź! wzejdź! wstań!
— otoć w ofierze niosę DUCHA dań:
ŻYCIE me niosę!! — niechaj ołtarz twoj
zadrży i rzuci ognia złoty zdrój
na moje oczy — niechaj zmyje mrok,
który z rozpadlin napadł na mój wzrok! —
SŁOŃCE!!
płonące — rozpal krew zastygłych żył,
stop mnie i przepal w zuzel, popiół, pył — —
niechaj wyrośnie z żyzności mych snów
ognisty krzew — ! — niechaj śród gwiazd zakwitnie — ! —
niechaj się zrodzi z żyzności mych snów
ognisty ptak — i — wzleci w WSZECHŚWIAT — w WIECZNOŚĆ — —

Emil Zegadłowicz.

K R Y T Y K A.

K S I Ą Ż K I.

WANDA MELCER - RUTKOWSKA — „NAPEWNO KSIĄŻKA KOBIETY" Warszawa—1920 r.

Mała, szara książeczka, a jak odmienna od szumnie i ozdobnie wydanych tomów poezji. Nikły druk bajecznie harmonizuje z tymi nikłymi — zdawałoby się — tematami, które giną w przyśpieszonym i monotonnym rytmie dnia codziennego.

P. Melcer-Rutkowska to — dziecię dnia dzisiejszego, epoki samolotów, elektryczności, wind i kamienic kilkunastopiętrowych i dlatego właśnie—poruszane w tym szarym tomiku tematy, tak są niepodobne do sentymentalnych kwileń poetów dnia wczorajszego. Szmerowi liści jesiennych odpowiada szmer wody w rurach kaloryferowych, a szumowi rwącego potoku — tajemnicza piosnka windy.

Aby jednak te perły wyłowić z szarych odmętów codzienności, trzeba naprawdę— kobiecej mimozycznej intuicji twórczej, która jedynie jest w stanie podchwycić z powodzi dźwięków te niedosłyszalne szmery duszy wszechświata.

Czasem uważny czytelnik wsłucha się mimowoli w błąkające się tu i owdzie reminiscencje z Rimbaud'a, albo nieśmiertelnego Whitmana, są to jednak wpływy raczej nieświadome, wynikające z dłuższego obcowania z kimś, kogo się bardzo, bardzo kochało.

I czy to będzie „Zdziwiony oddech", czy „Piosnka Kaloryferów", czy wreszcie „Trawa", wszędzie nas uderzy—szukanie nowych dróg, a staranne omijanie wydeptanych ścieżek lub banalnych klombów strzyżonych.

I dlatego „Napewno książka kobiety" jest napewno książką poetki o rzetelnym i niecodziennym talencie.

CZASOPISMA.

„NOWY PRZEGLĄD LITERATURY I SZTUKI“ — zeszyty 1 i 2 — 1920.

„NIEBIESKIE PIĘTY“ — jednodniówka — 1920.

Pomysły rodzą się zazwyczaj, jak grzyby po deszczu. Jedne są jadalne, drugie — trujące. Żyjemy w epoce przewartościowywania pojęć oraz wszelkich uznanych wartości. Trujące grzyby przeto zasadniczo nie są szkodliwe.

„NOWY PRZEGLĄD LITERATURY I SZTUKI“ okrom słowa wstępnego, nadającego się jeszcze do dyskusji, nie zawiera absolutnie nic godnego uwagi. Są to wypociny ludzi starszych (tem gorsze!), którzy pragną za wszelką cenę utrzymać swój zanikający „prestige“ w społeczeństwie. A dzieje się to wszystko w erze gwałtownych przewrotów w sztuce europejskiej, zarówno bowiem futuryzm, jak ekspresjonizm uzyskują ostateczne prawo obywatelstwa na zachodzie. „My!“, oto — komunał, którym szafuje się z lubością starej panny, łudzącej się swą przekwitającą pięknością. Jak minęły bezpowrotnie czasy ucisku możnych nad nędzarzami, tak nie wrócą nigdy już czasy impresjonizmu i symbolizmu, życie bowiem — według prawa Heraklitowego — idzie naprzód, a żywe kamienie, którym się majaczy, że zdołają wstrzymać rwący potok — mija. I nieprawdą jest, że „szlachetne pasje do problemu barwy, światła i linji“ należą do raptularza przeszłości, te pasje istnieją, tylko są już pasjami szewskiemi. Demokratyzacja i formy i treści. I to nie jest czczym frazesem. Właśnie dążność do wynalezienia tej prymitywnej formy, której tak bardzo łaknie prawdziwa sztuka, właśnie otrząśnięcie się z tych wszelkich sztucznych akcesoryj patetycznych, któremi ozdobiona była „Chimera“. Nie ignorujemy zasług „Chimery“. Ale „Chimera“ spełniła swoją misję i odeszła. Życie poszło dalej. Dość — romantyzmu i pierrocich nastrojów! Właśnie — sztuka na ulicę, na sprzedaż! Dość już artystycznego przymierania głodem! Artysta musi przebojem zdobywać życie i, uległe u stóp swych, kłaść. My — idziemy bez ćmiących świeczek sentymentalno-melancholijnych. Niesiemy wielką Hostję Sztuki dla wszystkich, dla proletarjatu. I taka jest różnica między „Nowym Przeglądem“ a nami. Aby zyskać uznanie, nie dość powoływać się na swą przeszłość, nie dość podkreślać, że uznane nazwiska są gwarancją wysokiego poziomu pisma. „Chimera“ szła innemi drogami. Rzetelnem umiłowaniem sztuki i wydobywaniem mozolnem nowych wartości nakazała szacunek dla siebie. I taka jest znowu różnica między „Chimerą“ a „Nowym Przeglądem“. Pustka, czczość i ubóstwo wieją z każdej stronicy tego „Przeglądu“, który pragnie być nowym.

„NIEBIESKIE PIĘTY“ niewątpliwie należą do grzybów trujących i niejednemu czytelnikowi odbiorą spokojny sen. Wartość utworów — problematyczna. Wpływy na każdym kroku: i nietylko — Igora Siewierjanina, Rimbaud'a, ale również — Słonimskiego i Wierzyńskiego. Wyłowić dałoby się zaledwie — jeden, dwa talenty. Jako próba poruszenia mrowiska — godne zanotowania.

Od Redakcji.

Z powodu braku miejsca dalszy ciąg materjału krytycznego odkładamy do następnego zeszytu.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Adres Redakcji: **Warszawa, Śniadeckich 23 m. 16, telefon 159-09.**
Skład główny w księgarni Trzaska - Evert - Michalski w Warszawie, Krakowskie - Przedmieście (Hotel Europejski).

Redaktor-Wydawca: **XAWERY GLINKA.**

Druk. „Rola“ J. Buriana, Mazowiecka 11.



GOSPODA·POETÓW

MIESIĘCZNIK POETYCKI

Zeszyt 2. Listopad, 1920 r.

NASZYM KRYTYKOM

Pierwszy zeszyt naszego pisma wywołał burzę i podrażnił niesłychanie niektórych krytyków pism stołecznych. Rzecz znamienna, że najostrzej przeciwko nam wystąpili krytycy stojący na przeciwległych biegunach... politycznych. Z jednej strony p. Stanisław Pieńkowski w „Gazecie Warszawskiej“ w trzech wielkich feljetonach potępił nas ze stanowiska... (o ironjo!)... politycznego, zaś z drugiej strony wielki jego przyjaciel z „Kurjera Polskiego“ p. Słonimski w szeregu zjadliwych wypadów w dziale „Sztuka“, rozpoczętych jeszcze przed ukazaniem się naszego pisma, starał się zbagatelizować i ośmieszyć nasze poczynania ze stanowiska... niebezpiecznej konkurencji. Obaj „serdeczni“ przyjaciele ze zgodnością wprost zadziwiającą — orzekli: „Gospoda Poetów“ jest pozbawiona talentu, ducha, treści, sensu, twórczej myśli, ba! nawet wyobrażony na winjecie tytułowej pegaz w „strachu panicznym ucieka z tego ponurego lokalu.“ W jednym się tylko różnią pp. Pieńkowski i Słonimski: gdy pierwszy bowiem odmawia p. Rutkowskiej wszelkiego talentu, drugi ubolewa nad jej losem, że jako szczera poetka trafiła w tak nieodpowiednie towarzystwo.

Muszę zaznaczyć na wstępie — że nie myślę wcale polemizować ani z p. Pieńkowskim ani z p. Słonimskim. Nie po to bowiem, z wysiłkiem wielkim, z wielkim nakładem pracy i energji pokonywałem piętrzące się przeszkody, nie po to powoływałem do życia „Gospodę Poetów“, mając jedynie rozwój poezji polskiej na myśli, — ażebym miał poświęcać w piśmie dla innych służącem celów, drogocenne miejsce na polemiki z krytykami, z którymi notabene polemizować można tylko w płaszczyźnie zagadnień politycznych, społecznych, handlowych, rasowych ale nigdy... artystycznych.

Pomijam więc cały szereg „rzeczowych“ zarzutów podniesionych przez p. Pieńkowskiego a skierowanych przeciwko zamieszczonym w „Gospodzie“ utwo-

rom. Pomijam całą ignorancję jego i brak orjentacji w wielkim momencie zmagania się młodej twórczości polskiej z zagadnieniami nowej „formy", którą p. Pieńkowski rozumie jako coś, co jest poza „treścią", gdy według mnie nie da się tych rzeczy wcale oddzielić. Pomijam również milczeniem aroganckie, żydowskie naprawdę, dowcipy p. Słonimskiego, zmierzające ku temu, ażeby zbagatelizować i ośmieszyć nasze poczynania, uszczuplające znaczenie wyłącznego monopolu na młodą poezję polską, przyswojonego sobie bezprawnie przez grupę „Skamandra". Nie negujemy wcale zasług „Skamandra", stwierdzamy z przyjemnością że posiada w swem łonie szczerych poetów, obdarzonych prawdziwym talentem. Ale „Skamander" to nie jest synonim całej młodej poezji polskiej — do czego jak widać rości sobie pretensję. Twierdzimy, że „Skamander" jest tylko jedną z kapliczek — ale nie jedynym kościołem współczesnej poezji polskiej, co należy raz wreszcie ustalić i społeczeństwu wyjaśnić. Dowodzi tego chociażby fakt powstania „Gospody Poetów", która zupełnie inne ma zadanie do spełnienia niż „Skamander" — i dlatego nie myśli wcale z nim konkurować, czego się tak boi p. Słonimski, pobudzany psychologją sklepikarza z przeciwnej strony ulicy. Zbywam przeto napaści p. Słonimskiego pogardliwem milczeniem.

Chodzi mi tutaj o co innego. Mianowicie chodzi mi o wyjaśnienie stanowiska „Gospody Poetów" i o rozwianie raz na zawsze tych zasadniczych nieporozumień, które mogą stworzyć zarzuty podobne tym, jakie nam stawia p. Pieńkowski.

Stwierdzam więc raz jeszcze, jeśli to nie jest dość jasne z artykułu wstępnego w 1-szym zeszycie, że „Gospoda Poetów" nie jest grupą poetycką o zwartej, związanej z góry narzuconym programem ideologji. Jestem bowiem sam tego zdania, że nie program tworzy kierunek w poezji, ale twórczość poetycka tworzy dopiero program. Dlatego też „Gospoda Poetów" zupełnie świadomie nie wystąpiła z żadnym programem idejowym. „Gospoda Poetów" jest tylko terenem otwartym dla wszelkich eksperymentów twórczych w dziedzinie poezji i jako taka, nie rości pretensji do reprezentowania jakiegoś nowego, skończonego już kierunku poezji polskiej. Rzecz inna, że z czasem, może się z „Gospody Poetów" wyłonić ideologja nowej poezji polskiej. Ale jest to kwestja przyszłości, zależna w znacznej mierze od tego, czy w „Gospodzie" zgrupują się ludzie wielkiego talentu, czy też ci ludzie ominą ją tak, jak ów nieszczęśliwy pegaz z tytułowej winjety.

Pierwszy zeszyt „Gospody Poetów", jak sam zresztą przyznaje p. Pieńkowski posiada już „perły niepospolitej wartości" w postaci, nie wiem tylko dlaczego do poezji „dnia wczorajszego" zaliczonego wiersza p. Małaczewskiego. Jeśli już mowa o tem, to wogóle nie wiem na jakiej podstawie p. Pieńkowski to co mu się w „Gospodzie" niepodoba—zalicza do nowej poezji, a to co mu przypada do gustu określa jako „poezję dnia wczorajszego". Dla nas — wszystko co jest w „Gospodzie" jest poezją dnia dzisiejszego.

To, że w pierwszym zeszycie znalazły się rzeczy tak dalekie sobie, jak: „Poetom zmartwychwstałej Polski"—Małaczewskiego obok „Kotów"—Rutkowskiej, oraz „Z poematu Symfonicznego" Zegadłowicza obok „Klijentki"—Glinki—to samo już jest najlepszem świadectwem, że nie zacieśniamy naszego programu idejowego, jak to nam zarzuca Pieńkowski, do jednostronnego apoteozowania „epoki samolotów, wind i rur kaloryferowych". Nie, panowie! Program idejowy „Gospody poetów" jest o wiele szerszy, niż wam to się w naiwności ducha zdaje. Program „Gospody" obejmuje i pańskie wyobrażenie o poezji, p. Pieńkowski, ale obejmuje i moje własne. Chodzi tylko o to—aby to naprawdę była poezja. Jeżeli mówimy wszakże o poezji dnia dzisiejszego, — to rozumiemy, że musi być ona wytworem

ducha czasów w których żyjemy, a nie niewolniczem trzymaniem się epoki klasycyzmu, czy epoki romantyzmu. Istota poezji pozostaje wszak zawsze ta sama—jest nią dusza poety. Ale nie widzimy powodu dlaczego dusza współczesna—ma używać dla swego wyrazu—tych samych znoszonych łachmanów ubiegłych epok. Można dzisiaj tak samo czuć, jak czuli romantycy—ale niema powodu współczesności ubierać w formy romantyczne. Nie negujemy tego, że kogoś może wzruszyć „szmer strumyka“ i widok „zielonego gaiku“, ale twierdzimy, że to samo wzruszenie może wywołać w człowieku współczesnym „szmer wody w rurze kaloryferu“ i widok „pędzącego tramwaju“. Dlaczegoż więc musimy, według recepty p. Pieńkowskiego, wzruszenie nasze, które jest *w istocie swej to samo,* wyrażać w formie utartej i wytartej—dlaczego mamy myśleć i czuć kategorjami obcego wieku? Nie jesteśmy tak naiwni, aby twierdzić, że istotą poezji jest gaik, strumień, samolot czy tramwaj. My tylko twierdzimy, że samolot i tramwaj są tymi samymi czynnikami w poezji—co gaik i strumień.

Zresztą do rzeczy tych powrócimy w szeregu artykułów zasadniczych o poezji, jakie mamy zamiar umieścić w najbliższych numerach „Gospody“. Artykuły te oraz nasze poezje rozwieją, sądzę, tą mgłę nieporozumień, jaką stwarzają wokół nas świadomie czy nieświadomie nasi „serdeczni“ przyjaciele.

Xawery Glinka.

JA KRWIĄ SERDECZNĄ PISZĘ...

Ja krwią serdeczną piszę, więc w piosnce usłyszycie
nie rytmów tylko tempo, lecz wartkie, młode życie —
w swe piosnki zamknąć pragnę nie jeno snów mych roje,
lecz radość młodej duszy i serca niepokoje.

Takiego rytmu szukam, co w tempie pulsom wtórzy,
co w sobie ma coś z rzeki, coś z wichru i coś z burzy,
a jednak harmonijnie, miarowo się układa,
jak wód szumiących w górach muzyczną jest kaskada.

Mej pieśni rytm jest dziwny, miarowo niby płynie,
a jednak wciąż się łamie, to wzbija się, to ginie,
to ścicha, to znów wznosi, jak gdyby wzrastał w siłach,
bo wiersze me tak tętnią, jak tętni krew w mych żyłach.

Franciszek Błotnicki.

D Z W O N

Lat pół tysiąca
On błyszczy tam
Miedzianym puharem
I na ziemię,
Która w zielonych sadach cicho drzemie
Strąca
Mocarnych tonów fale...
Rozkołysany szeroko,
W słonecznej chwale
I w niemej mocy,

Czuwa nad nami
W mrokach
Gwiaździstej nocy,
Jak świt w obłokach,
Chmur okolony girlandami.

W jego milczeniu
Jaskrawe zgasiwszy płomienie
Słońce się żarzy w głębokim cieniu.
A kiedy się rozwinie
Dzwon po pagórach i dolinie
Na serce spada zamyślenie:
O biedaka twarzy,
I o tej szybie, co się w słońcu żarzy,
O brzozie, która liście z wiatrem roni,
I o matczynej ukochanej dłoni,
Która niegdyś, gdy wicher wesoło
Zielone oblegał drzewa,
Pieściła nasze dziecięce czoło...
I o włosach
Dzwon śpiewa
Pięknej kochanki,
Które w dalekie różowe poranki
Pachniały, jako róże w promiennych
[niebiosach!
Raz
Wśród posępnego leja
Szarej ulicy,
Kiedy wiatr jesienny
Z niebiosów poblask ściera
[dzienny,
Zaułek skargą skowyczy,
A w sercu mrze nadzieja —
Dzwon się odezwał na wieży i zgasł,
Jakby strapiony wiatrem i jesienią,
Ale po chwili już pieśń się wydarła
Ze spiżowego gardła —
A fale tonów na wietrze
[się mienią!

Pierwsza dzwonu fala
Rzuciła się na serce jako ogień głodna,
Co parkany jęzorem czerwonym
[obala,
A druga była czysta i pogodna
I uroczyście śpiewna głębią do dna,
A trzecia pofrunęła huraganem
I uderzyła w niebo skrzydłami jasnemi,
Czwarta — o próg kamienny trąciła
[kolanem
I włóczyła się, płacząc po ziemi!

Tak w wieczór jesienny,
Gdy wiatr w ulicę wpadał z różnych
[stron
I z niebiosów poblask ścierał dzienny,
Na wieży pieśń rozsnuwał dzwon.

Leon Choromański.

S C H A D Z K A

Wśród obojętnych słów rzucanych od niechcenia
Padło: O piątej jutro dam Ci znak...
Z zielonych oczu Twych, z uśmiechu i spojrzenia
Wykwitło krótkie i ogniste: Tak!

W łagodnym zmierzchu dnia, w gasnącej zorzy lata
Wśród brzęku much, i wśród poszumu drzew —
Odeszłaś w ulic zgiełk — powabna i skrzydlata —
Taneczna niby rytm, albo jak śpiew.

Zostałem w parku sam — tak lekki i radosny
Jak lekkomyślny Twoich bioder tan —
Przymknąłem oczy. Czuję jeszcze powiew wiosny:
Wspomnienie Twoich perfum l'Origan...

Xawery Glinka.

U L I C A

W dwa równe rzędy szare kamienice,
Ciemne czeluście uchylonych bram...
Jakżeście obce mi długie ulice,
Choć was przebiegam, choć niby was znam!

Drży słabym blaskiem latarnia w oddali,
W mokrym chodniku igra złoty prąd,
W dwóch oknach światło omglone się pali,
Lśni dwojgiem oczu szarych domów rząd...

Kędyś, dorożka zatętni po bruku,
Ziewnie przeciągle rozespany stróż...
A bokiem, cicho, bez gwaru i stuku,
Suną sny stare, co się śniły już.

Suną sny wszystkie, zmęczone, zaspane,
Pragną się wcisnąć w niedomknięte drzwi.
Próżno—nie dla was, sny dawne i znane,
Ci nowi ludzie: idźcie, stare sny!

I oto, bokiem nieznanej ulicy,
Gdzie nie dochodzi gwar, hałas i stuk,
Jeden za drugim nasz sen bladolicy
Sunie i łzami chłodny zrasza bruk...

Szyderczo śmieją się z nich kamienice
Ciemną czeluścią uchylonych bram...
Jakżeście obce mi długie ulice,
Choć was przebiegam, choć niby was znam!

Wanda K. Grodzieńska.

N A D S T O C H O D E M

Tak-tak! Tak-tak-tak!-tak!

Nic nie powstrzyma już
okrutnej, twardej woli,
co rozpętała się, jak stada burz,
nad polem Doli i Niedoli.
Nic nie powstrzyma już
obłędu, co się czai
i tu i tam — —
podchodzi, czołga, w bagnach brnie,
Boga przyzywa, Bogu klnie,
rośnie, przykuca, wyrasta z jam,
tai się, tai, tai —
tajemny daje znak —
tak-tak!-tak-tak-tak!-tak!

Serca nam biją w takt,
w wichrowy takt stukotu broni — —
Śmierć po przedpolach goni,
ugania, hej! ugania,
nad okopami chichota,
sprawuje szyki: „Hołota!

Ostatni raz — ! — wytrwania!"
Serca nam biją w takt,
w uparty takt stukotu broni —
— tak-tak! tak-tak-tak! tak! —
rwą się, szamocą, trzepocą,
jak sztandary rozpięte na wichrze,
telefony w ziemiankach mamrocą
— „za chwilę! jeszcze nocą!" —
słowa mkną coraz cichsze,
coraz cichsze...
Tsss...

*

* *

...Nie! To nie oni, nie!
To my łakniemy krwie,
my wyzywamy Los!
Tak-tak! tak-tak-tak! tak!
Ostry, syczący, suchy głos —
to my!

Sunie już, sunie łańcuch widm
w różanej mgle —
Nie! to nie oni, nie!
To my łakniemy krwie!
My wyrastamy z białych wydm,
z piaszczystych dołów, bagien, nor,
z przylasów, z ziemi i podziemi,
jak obłąkane tabuny zmor —
to my!
To my idziemy wprzód!
Pożoga—ryk dział—syk kul—to my..
Lipcowy płonie słońca wschód,
na trawach srebrne łzy...
Lipcowy płonie słońca wschód,
na trawach srebrne łzy się mienią,
to tu, to tam purpury róż,
purpury krwi czerwienią...

Zrywamy się raz-wraz —
padamy znów pokotem.
Śmierć tańczy pośród nas
z okrutnym dział chichotem...

Blisko już, blisko, w gradzie kul,
ach, nieodparcie sunie wprzód
tyraljera polskich dól,
młodzieńczy, krwią zbryzgany trud.

Blisko już, blisko,
druty tuż — —
bagnety lśnią —
działa już rzadziej grzmią —
i coraz więcej wokół róż —
hurra!
hurraa!
hurraa!!
Oko za oko,
ząb za ząb,
bagnet głęboko
bij w serca głąb —
oczy-pustynie,
płonące żarem,
usta spalone,
zmięte do cna! —
Hurra! Hurra! Hurra!..
Kolby wzniesione,
głuchym ciężarem
wgniatają łeb do łba — —
hurra! hurra! hurra!..

*

* *

Stochodu martwe fale
purpurą krwi się mienią...
Nad brzegiem, jak korale,
kiście jarzębin jesienią —
krew powrastała w krze...

*

* *

Ni naprzód iść mi teraz,
ni cofać mi się w tył...
Zda mi się, żem tu dawno,
w prawiekach jeszcze był...
Zda mi się, żem zbłąkaniec,
żem Kain, brata wróg —
żem pobudował szaniec
naprzeciw, gdzie stał Bóg! —
żem z poza tego szańca
szedł w boje poprzez wieki,
aż mnie doścignął Los
nad wodą martwej rzeki...

Feliks Gwiżdż.

W POWOZIE

W noc — białą znaczną kartą,
od twórczych gwarną jazd,
podsłuchać czasem warto
szmer spadających gwiazd.

W powozie śniąc obłudnie
o pięknie górnych sfer,
odkładać na południe
zapowiedź nowych er.

W noc jasną śmiać się jasno,
gwiaździsty śledząc zgon
i zgadnąć, które zgasną,
gdy mrzeć im każe On.

Na cenne bacząc konie,
by nie zerwały nóg,
ciekawe wznosić skronie
aż tam, gdzie mieszka Bóg.

Gdy gwiazd gasnących fala
za czarny zbiega złom,
spoglądać, jak już zdala
nasz biały świta dom.

A potem lec spokojnie
na najpiękniejszem z łóż,
i sny wzbogacać hojnie
szczątkami gwiezdnych dusz.

W burżujską noc, rozdartą
odległą łuną miast,
podsłuchać czasem warto
szmer spadających gwiazd.

Stanisława Iwańska.

NAD PROSNĄ

Wspomnienia moje dziecięce
w białym mieszkają domeczku:
— w starej altance nad rzeczką
widzę się w krótkiej sukience

spiętej różową rozetką.
Po ławkach biegam powiewnie
i myślę sobie, że pewnie
ja jestem małą poetką.

Pod przybrudzonym fartuszkiem
(ach, jakże wolno się rośnie!)
serduszko bije bezgłośnie,
a w skrytce nad mojem łóżkiem,

w niebieskim drzemią kajecie
uczucia moje gorące.
— Cóż w tem dziwnego?—mam przecie
lat osiem i dwa miesiące!

I jedno martwi mnie tylko:
że kiedy „człowiek“ jest mały,
rok szkolny—ach—wiek trwa cały,
a potem—życie jest chwilką...

Z początku—każdy jest dziki —
czasem, „jak czarne indjanki“
wolę pić z rowu, niż z szklanki,
dziwne wydając okrzyki.

Lecz każdy wie, co go spotka
(u nas się czarni nie włóczą!),
i mnie też pijać nauczą
z szklanki, a może ze spodka.

— Skupiona siadam na kładce
i myślę, jak w ciszy wiejskiej
nęci mnie stary Ujejski,
wiesz—ten, w czerwonej okładce.

Ja sobie—w wodzie po kostki,
on sobie— w skrytce nad łóżkiem,
oboje z tkliwem serduszkiem
szepczemy sobie czułostki.

Jak pacierz umiem go prawie:
i ten—o Hagar na puszczy,
i ten—co nosił wśród tłuszczy
skrwawiony szal na zabawie.

Nad biednej Hagary losem,
jak często łzy mi pocieką,
gdy w cichym mroku nad rzeką,
mówię ją sobie półgłosem.

A potem czarnym ołówkiem
na znak żałoby i smutku,
tworzę elegję cichutką,
co smętnym kończy się słówkiem.

I piszę: cudne są wiersze
te w kolorowych okładkach,
lecz moje—w rosie i kwiatkach
najmilsze są i najpierwsze.

Choć myśli moje urosną,
lecz wierzę, że najłaskawsze
życie da mieszkać mi zawsze
w białym domeczku nad Prosną.

Różową zmiętą rozetką
bawię się słodko i rzewnie,
i marzę sobie, że pewnie,
ja jestem małą poetką...

Stanisława Iwańska.

TANIEC RYBY W KOSZYKU

Zamiatać po wiklinie ogonem —
i — niebo rozpięte,
jak kawał bielonego płótna,—
bez wież, domów, widnokręgów,
mrożących krew ogromem
i odmętem...

Szmer wody z miejskich wodociągów
melodja, jak miód bałamutna,
uśpić może czujność karpich oczu,—
i skrzela, dygocące w rytm
swarów przekupki —
doniośle i rączo:
chrześcijanin czy żyd...

Trzeba wziąć ogon prędzej w łupki.

W koszyku z świeżej wikliny —
u baby albo dziewczyny...
— Ryby, ryby...
Sandacze, szczupaki, karpie —
jeszcze żywe, — jak się szarpie.

Bez kościołów, bez muzeów,
bez betonowych kwadratów
w górze i na dole,—
nie zaznawszy spoczynku w hotelu
na rozkosznym puchu piernatów —
tańczę ostatni tan!

Zbyłam się rozpaczy,
tak albo inaczej,
lec bezwątpienia przyjdzie na stole.
Czy w sosie szarym, czy w galarecie,
czy z chrzanem —
w południe lub nad ranem,—
zawsze wyprzedzą mnie śledzie,
łykane po wódce.

Tańczę ostatni tan,
jak słońce w łódce.
Na prawą stronę, na lewą stronę:
jakiż rozkoszny posiadam stan, —
tylko ten ogon trzeba w łupki.
Usłyszałam Dziwożonę —
głos przekupki.

Rzodkiewki, pomidory, kapusta —
wszystko jest prawie okrągłe,
jak litera O.

— Ryby, ryby...

Mój brat przyrodni miał na imię Gustaw
i poćwiartowany poszedł w rondle —
w godzinę złą.

Zamiatać po wiklinie ogonem
całe życie —
i chmur nie widzieć ni drzew
przed zgonem
prawie,
i tylko słyszeć serca własne bicie.

O Gustawie, Gustawie...

Edward Kozikowski.

P O D R Ó Ż N I K

Wzdłuż szyn biegnących na wschód lub na zachód —
w góry i morza, szlakiem srebrnej mewy,
w sleepingach ciasnych — bez miejsc i zapachu,
tak lub inaczej, z prawej albo z lewej.

Na brudnych stacjach z bufetem bez wyjścia,
kędy kieliszki chichocą i flaszki, —
zeszłorocznego szukać — kto wie — liścia,
z uporem nurka albo dla igraszki.

Po ćwierkających drutach telegrafu —
z gnębiącą zjawą płatnej odpowiedzi,
wysyłać wieści na wschód lub na zachód:
o spadku walut lub transportach miedzi.

Z peronów pierwszych na peron ostatni
przez zwarte tłumy przeciskać się z kufrem
nękany myślą, aby wyjść z tej matni
niespodziewanym a zbawiennym ruchem.

Budek dróżniczych, zwrotnic i skrzyżowań
nie widzieć nigdy — ni na oka mgnienie,
a trajkocące w telegrafie słowa
brać za gasnące pośród drzew marzenie.

Edward Kozikowski.

O CIENKĄ BLACHĘ...

O cienką blachę samochodu
w jesienny dżdżysty ranek —
wsparł się cień obcy bez powodu,
jak potłuczony dzbanek.

W zakrętach ulic i placyków,
linją architektury
wiązanych w takt pokoleń krzyków,
zabłądził stary Ruryk.

Z Waregów twarzy zetrzeć pyły
przy Pieczeniegów lontach,
i przeciąć linję dróg zawiłych
o gwiezdnych horyzontach.

Skrzyżowaniami szyn tramwajów,
mijając latarń szereg, —
zatęsknić nagle do ruczajów,
kąpiących słońc paterę.

Ruryku stary — w kapeluszu
zrudziałym wiekiem nieco,—
nie wiesz dlaczego liście prószą
i kostki bruków świecą.

Czemu rynsztokiem taśma wody
do swego celu biegnie,
i czemu wicher drzewek młodych
do trotuarów nie gnie.

Czemu kamienic wielopiętrza
z uporem stoją mumji,
czemu się masa wozów spiętrza,
jak myśl Dżelladin-Rumi.

Bracie człowieku z dawnych wieków—
przeznaczeń tchnienie świata
mózg ludzki w ciasną formę przekuł,
by duch się nie kołatał.

Dlatego, stary mój Ruryku,
z legend wypchnięty ramy,
latarnie stoją w zwartym szyku
przed ruchem wozów samych.

O cienką blachę samochodu
wesprzeć się lepiej w palcie,
niż liście z wschodu i zachodu
gonić w dżdżu po asfalcie.

Edward Kozikowski.

P O C I E C H A

Sama, sama wracałam z odczytu,
nie przyszedłeś po mnie wcale.
Szłam ciemnemi bardzo ulicami,
mało lamp się paliło na ulicy,
ludzie prędko chodzili.
Bardzo smutna szłam ciemną ulicą,
ale ktoś mnie pocieszył.
Niespodziane, zakurzone drzewko,
ciemna tuja stała przy kawiarni,
i uprzejmie dotknęła idącej
szorstką, ciepłą gałązką.

Wanda Melcer—Rutkowska.

P O Ł U D N I E

Kaliny, jarzębiny
Zmięte usta maliny,
Czerwień południa — — —

Ścieżki ukryte, śpiące,
Ławki stare, gorące
I wyschła studnia — —

Leniwe, ciche sjesty,
Bliskich kroków szelesty,
Brzęczące muchy — — —

Siecie pajęcze, przejrzyste,
Spojrzenia powłóczyste,
Zdradliwe ruchy — —

Snuje się, snuje chwila — —
Dziewczyna się nachyla — —
Szepty, półtony — —

Usta, zmięte maliny — —
Na siatce pajęczyny
Twe ostre szpony — — —

J. Stycz.

D W A S R E B R N E C I E N I E

Szary dzień, jesienny — bez słońca.
Park. Aleja długa, bez końca...
Bezlistne drzewa — obok pnia pień.
Ławka. Siedzi ktoś. To srebrny cień.

Bez słońca dzień, ponury, szary...
Marzenia — szczęście — trupy — mary —

Niezechciał Bóg... Obok pnia pień.
Ktoś szlocha... Chryste? To — srebrny cień.

. . . .

Idziesz Jasna..., och, ten biały pień! —
Drżą listki spadłe. Czegoś łka cień...
Cmentarna cisza. Gdzieś jęczy dzwon. —

. . . .

Dwa srebrne cienie: Jasna i On.

Kazimierz Tułacz.

EROTYK NEURASTENICZNY

W wieczór senny, jesienny
posępny — przy mnie i we mnie
tajemnie, gdyby przy umarłym
blisko moja kochanka
mściwa, miłościwa i jak cięciwa
sprężysta.
W ślepej ciszy, gdy się słyszy
jeno liść krwawo-złoty,
pędzący po drodze,
głowę kryję w jej rękach,
i w łzach tęczy
snuje sen pajęczy, —
i mieszam nasze łzy
w jedną
o wschodzie szmaragdową,
w południe djamentową,
o zachodzie ametystową,
a w nocy na poduszce zimną,
jako spojrzenie perły z trupa szyi
starego topielca,
co ma we włosach, oczach, ustach piasek.
I lec we troje:
ja, trup i ona.
Nagiemi rękoma:
jej i mojemi
poprzez strach
szyderczo
głaskać trupią twarz obmierzłą,
rozdęte piersi i rozwarte, sztywne uda.
Śmiać się, chichotać
i naraz zacząć sprawować
kochankowy szał miłosny
w noc senną, jesienną, posępną
aż do południa,
a potem ostrożnie
podkraść się do okna,
okiennice pchnąć
i zaprosić do wnętrza
słońce,
i czaszkę rozwalić
w południe pogodne
rozśmiane.

Jan Żyznowski.

V A R I A

APOLOGJA „KOTÓW"

Jak się okazuje, oprócz „Piosnki Kaloryferów" żaden jeszcze z moich wierszy nie zrobił na nikim tak piorunującego wrażenia, jak „Koty" na panu Pieńkowskim. Zostałam publicznie zainterpelowana, czy mogę w tym wierszu wskazać formę, rytm, plastykę, wyobraźnię, wzruszenie, myśl bodaj? Postaram się na to odpowiedzieć, broniąc zresztą w ten sposób nie „Kotów", bo wiersz nie jest tezą do obrony, ale wogóle tego rodzaju pisania. Ta forma nie jest zresztą wcale nową, bo posługiwał się nią — nie chcę przez to przeprowadzać żadnej paraleli między sobą, a jednym z największych liryków greckich — już poeta Alkejos w VII wieku przed Chrystusem.

Forma, mojem zdaniem, to nie jest sonet albo tercyna, ale wogóle najlepszy sposób wyrażania tego, co się chciało powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że widziałam w wielu lokalach koty różnych kolorów — i to mi się w zupełności udało. Wobec czego sądzę, że forma mojego wiersza jest dobrą.

Rytm nie jest to tylko jamb, albo trochej, ale pewien określony stosunek poszczególnych części do całości. Wadą rytmiczną byłoby np. wyliczyć szesnaście maści kotów, a zakończenie zamknąć w jednej linji. W wyżej wymienionym utworze zaś ilość kotów znajduje się w zupełnie dobrej proporcji do ilości linji.

Plastyka jest opisem danego przedmiotu w ten sposób, żeby czytelnik mógł go sobie wyobrazić. Wydaje mi się, że to, co o kotach napisałam, wystarcza zupełnie do uświadomienia sobie sytuacji, w jakiej się te zwierzęta znajdowały.

Wyobrażać sobie nie trzeba przedmiotu, który się dobrze zna i wyobraźnia nie jest koniecznym atrybutem dzieła sztuki, jak to znów poświadczą liryki greckie.

Wzruszenie? Nie mogę powiedzieć, żeby widok tych kotów wzruszył mnie do łez i nie wymagam też łez od czytelnika, natomiast z pewną słusznością mogę twierdzić, że lubię bardzo zwierzęta i że ich widok zajmuje mnie, a co zatem idzie, wzrusza.

Jeżeli chodzi o myśl, to jest ona tak jasna, że nie trzeba jej chyba tłómaczyć: nie miałam zamiaru opisywać Konferencji Ryskiej, ani pisać artykułu pod tytułem „Koty a zagadnienie wolnej woli we wszechświecie". Pisałam o tem, co mnie w danej chwili zainteresowało i starałam się to wypowiedzieć w formie możliwie najprostszej. Istotnie, nie przeczę, że i urzędnicy w biurach mogliby pisać takie rzeczy, bo prestigitatorem nie jestem, sztuk nie pokazuję i żadnego sekretu w tem niema. To bardzo łatwo. Niech tylko spróbują.

Wanda Melcer-Rutkowska.

ALKAJOS:

ZIMA

Z smutnego nieba Zeus-Ojciec dżdże zsyła,
Dmą silne wiatry północnymi chłody,
I zastygają strugi deszczu,
I zamarzają pod śniegiem strumienie.

Jak przetrwać zimę? Słuchaj, zapal ogień,
I, nie żałując, lej w głębokie dzbanki,
Wesołe wino, i po uszy
Cały się ukryj w mięką wełnę.

ZIMOWA BIESIADA

Będziem pić! I oliwę
Czas już zapalić:
Zimowy dzień jest krótki.
Malowane na stół
Miły mój, postaw
Dzbany głębokie!
Trunku w nie nalej, nie żałuj!
Dał nam i wino
Dobry Semeli syn.
Żal utopimy we dzbankach:
Nalej-że po dwa
Pełne każdemu z nas!
Jakże się miło bawić!
Wypiwszy jeden
Nie czekać długo na drugi!

Przełożyła
Wanda Melcer-Rutkowska.

K R Y T Y K A.

K S I Ą Ż K I.

RADOSŁAW KRAJEWSKI. „POEZJE SŁONECZNE". Warszawa 1921. „Wydawnictwo poetów".

Nieznamy bardziej nierównej pod względem artystycznym twórczości, jak Radosława Krajewskiego, który nie od dziś zresztą występuje na arenie literackiej. Znaliśmy go jednak z dramatów jego prasłowiańskich, tem się odznaczających, że pozbawionych wszelkiej wartości scenicznej. „Budowanie Cudna", „Za jaźnią Wielkiej Lechji", „Lechja i Centaur"— są to nieforemne bryły pomysłów dramatycznych, obracających się wciąż w jednej płaszczyźnie kultu dla mitologji lechickiej. Już w owych bryłowatych złomach, nieociosanych i prymitywnych, w owych rzutach pierwszych tragedji młodego poety — dostrzedz możemy, jak nierówne pod względem artystycznym posiada wartości. Obok koncepcji na wielką zakrojonych miarę — znaleść możemy jałowe, bezbarwne i płytkie szczegóły, które tem bardziej rażą, im bardziej wielkie przywiązuje do nich znaczenie sam autor. Jeśli przytem zważymy to niesłychane obciążenie języka wyrazami staropolskimi, a nawet starosłowiańskimi, w których się poeta lubuje — to często wydaje nam się, że mamy do czynienia z maniakiem— grafomanem. Tak jednak nie jest. Krajewski posiada wiele znamion genjalności, właśnie w tej niesamowitości formy, którą coraz bardziej poczyna opanowywać.

Tymi samemi właściwościami co dramaty Krajewskiego, odznaczają się jego wiersze, zebrane i wydane obecnie w tomie noszącym tytuł „Poezje Słoneczne". Krajewski ma pretensję do słoneczności — nie można jednak przyznać, że są to pretensje uzasadnione. O tyle chyba, o ile wszystko w naturze, a w tej liczbie i utwory Krajewskiego, rodzą się pod słońcem. Słońce w poezji Krajewskiego odgrywa raczej rolę bierną. Jeśli chodzi o porównanie, to porównać możnaby wiersze Krajewskiego, do tych pokracznych bożków rzezanych w twardem drzewie. Niezgrabne to, cudaczne — ale ma swój wdzięk i swój styl, swój rozpęd i swoją myśl, którą z uporem litwina rozwija konsekwentnie Krajewski we wszystkich swych utworach. Myślą tą jest: Powrót do pogaństwa, do mitologji pogańskiej, do pierwiastków czysto — lechickich duszy polskiej. Krajewski odrzuca wszystkie naleciałości obce, jakie w ciągu wieków kształtowały kulturę narodu, odgradza się od kultur zachodnioeuropejskich murem nieprzeniknionym swojej koncepcji o czystości ducha narodowego. Marzy mu się panowanie ideologji polskiej nad całym światem i ta szczytna rola jaką Polska odegrać musi w dziejach Ludzkości. Z Polski spłynie na świat, światło nowej kultury. Ex — oriente lux — woła Krajewski.

„To ten Światowit
w ciebie się wciela, Polsko — Zbawicielko,
by cały cywilizowany świat
co w samolubstwie małego mózgu
zatracił duszę wielką,
witał nowe, światowitowe słońce".

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT — „PŁOMIENIE W LUSTRACH" — Warszawa — 1920.

Szkoda, że dopiero w roku tysiącznym dziewięćsetnym dwudziestym p. Evert przypomniał sobie, że niedawno jeszcze na Zachodzie — Marinetti rzucał w ukołysane czadem sentymentalizmu tłumy — manifesty futurystyczne, będące objawieniem nowej sztuki. Szkoda, że dopiero dziś autor „Płomieni w lustrach" zorjentował się, że ziemia, po której stąpa, jest zwyczajnym chodnikiem asfaltowym, a pegazy, unoszące się wśród obłoków, jedno lub dwupłatowcami, kierowanymi rękoma zwyczajnych ludzi.

Szkoda, — bo nie byłoby tego nieporozumienia między poetą a uważnym czytelnikiem. „Płomienie w lustrach" — w przeciwieństwie do poprzednich tomików tegoż autora—starają się dół tego nieporozumienia zasypać. Właściwie tylko cykl wierszy, objęty wspólnym tytułem „Capriccia" wnosi d o p e w n e g o s t o p n i a elementy nowej sztuki,

którą autor dotychczas tak skrupulatnie bagatelizował. Nie odczuwamy jednak w tych drobnych poemacikach szerokich oddechów twórcy. Wyczuwa się tu i owdzie niepewność kroków i lęk przed przebiegającymi ulicami miast Renauld'ami, ale świadomość poety, że stąpa po szarym asfalcie, upaja go.

Poważnem niebezpieczeństwem wreszcie dla idei czystej sztuki jest powierzchowne traktowanie przez p. Everta pierwiastku erotycznego, który w każdym niemal wierszu nabiera chorobliwych rumieńców heterycznych, przypominających obrazy i szkice Felicjana Ropsa z najsłabszej epoki jego twórczości.

„Płomienie w lustrach" są niepewną próbą formowania się talentu na tle ostatnich prądów w sztuce. Czy autor zasiądzie do wspólnego stołu poetów doby bieżącej, przyszłość najbliższa pokaże.

STANISŁAWA IWAŃSKA — „POCAŁUNKI I ŚNIEG". Poznań 1920 r.

Zbiór wierszy p. Iwańskiej jest słaby. Słaby dlatego pewnie, że zawiera rzeczy pisane dawno, pisane w okresie nieuświadomionej jeszcze twórczości poetki, w okresie jaki każdy szczery poeta przechodzi w swej młodości. Sprawa inna, że jedni poeci swe utwory z tego okresu rzucają w płomień albo chowają na dno szuflady—inni zaś oddają je z całą szczerością serca do rąk publiczności. P. Iwańska należy do rzędu poetów tej ostatniej kategorji. Wiersze, które zawiera jej książka „Pocałunki i śnieg"—są słabe. Ale jest to sprawa drugorzędna. Ważniejszem jest to, że p. Iwańska ma talent, i to talent, który może olśnić niespodziankami. W zeszycie obecnym dajemy kilka wierszy p. Iwańskiej—na podstawie których możemy twierdzić, że poetka wchodzi w drugi okres swej twórczości, w okres twórczości *świadomej*. I o ile na podstawie jej książki moglibyśmy tylko powiedzieć: p. Iwańska jest zdolną kobietą, która się bawi w poezję, to na podstawie tych dwóch wierszy powyżej drukowanych, śmiało twierdzimy: p. Iwańska jest utalentowaną poetką, która szuka swego wyrazu.

EDWARD KOZIKOWSKI — „PŁOMYK ŚWIECY". Warszawa 1921 r. Wydawnictwo „Gospody Poetów".

Dziś, w czasach wielkich łukowych lamp elektrycznych, w oślepiającym blasku żarówek, dziwnie śmiesznem i nikłem zjawiskiem jest zwykły, słaby, dobrotliwie mrugający, złoty a ciepły „płomyk świecy". A jednak przywodzi on na myśl minione dzieciństwo, zapadłą wieś, młodość i te pierwsze cudowne chwile, gdy się w jego niepewnych błyskotach—rzucało na papier naiwne, pierwsze rymy. Taką właśnie wartość posiadają zebrane w omawianym zbiorku utwory Edwarda Kozikowskiego. Czuje to doskonale i wie o tem, sądząc z przedmowy sam autor. To było—i to już nie wróci. Były w młodości nastroje, przeżycia, smutki, radości — które się naiwnie, szczerze, nieudolnie, w nieswoje najczęściej ujmowało formy na papierze. Ujęcie było słabe, banalne, czasem wprost śmieszne—ale to, co się młode pióro siliło ująć — było zawsze do samej głębi przeżyte, szczerze przecierpiane, z samego wnętrza wysnute „Płomyk świecy"—jest więc gromnicą przy katafalku, na którym spoczywa umarła młodość poety, nad którą on sam stawia krzyż niepamięci.

„Wykrystalizowywanie oryginalnego profilu z mgławic poszukiwań następuje dopiero dziś"—powiada autor w przedmowie. Jest to prawdą. Stwierdzają tę prawdę ostatnie wiersze Kozikowskiego, które daliśmy w pierwszym zeszycie „Gospody Poetów" i w zeszycie obecnym. Stwierdzamy to z całą przyjemnością.

ZYGMUNT D'ERCEVILLE—„UŚMIECHY GRZECHU". Poznań 1920 r.

„Uśmiechy grzechu" jest to debjut młodego poety Debjut, powiedzmy szczerze, naiwny, młody, nieudolny—ale debjut, świadczący o talencie, z jakim mimo wszystko mamy do czynienia. P. D'Erceville jest poetą z bożej łaski. Obce mu są tajemnice i dociekania w dziedzinie kunsztu poetyckiego, obce mu są i obojętne zagadnienia rytmu i rymu. Jego wiersze są nieraz koślawe i nieudolne, jego rymy mają coś z różańców częstochowskich, jego rytmika—wyboista jest niby podolski gościniec. A jednak... Jednak jest w tych wierszach przeważnie erotycznych, coś, co ujmuje, co zastanawia, co bawi, co porusza, co zaciekawia. Ta nieuczona poezja—ma w sobie coś z poezji starego Villona, coś z jej upajającej bezpośredniości.

BOLESŁAW LEŚMIAN — „ŁĄKA“. Wyd. J. Mortkowicza 1920 r.

W czasach wszelakiej banalności i szablonu literackiego, w epoce upartego deptania ścieżek, wydeptanych tysiącami stóp, każdy utwór poetycki, będący choćby tylko usiłowaniem wydobycia czegoś odmiennego z powodzi starych i zużytych tematów, jest sui generis objawieniem.

„Łąka“ Leśmiana przepojona jest takiem właśnie pragnieniem wydobycia nowych pierwiastków z tematów znanych i oklepanych, nie drogą nowej formy, ale za pomocą zupełnie naturalnego poszukiwania. Poeta ukochał przyrodę i odczuwa doskonale wszystkie jej smutki i radości. To jest zasadniczy ton, dźwięczący w poezjach Leśmiana—ton—jak widzimy—nienowy i wiodący rodowód swój od narodzin poezji. Ale ton ten w poezjach Leśmiana dźwięczy inną zupełnie melodją, bliższą nam, powiedziałbym—nowoczesną. Z drugiej strony—takiej charakterystycznej bezpośredniości w obcowaniu z przyrodą nie spotyka się w poezjach doby obecnej zupełnie. To nie jest przyroda obserwowana przez szybę okna na miękim fotelu, to jest przyroda, którą poeta nawskroś poznał, wchłonął i do śmierci ukochał. I ów „Koń“, którego poeta zaprosił do chaty, by pacierze z nim odmówić przedwieczorne, i „mak, piejący w śródpolnem bezdrożu, aż mu zinąd prawdziwe odpiały koguty“, i ta kula drewniana, która po śmierci dziada wypłynęła na powierzchnię wody „niczyja, nienależna nikomu, wyzwolona z kalectwa“, wszystko to są obrazy, które na długo pozostaną w pamięci czytelnika, budząc głębokie refleksje.

Trudno, zaprawdę, w tem krótkiem sprawozdaniu wyliczyć wszystkie perły z „Łąki“ Leśmiana. A będą niemi: i „Szewczyk“, i „Wspomnienie“, i „Dzieje ludzieńków“, i „Żołnierz“, co z wojny powrócił do domu kaleką i za przyjaciela wziął sobie z figury przy drodze Chrystusa drewnianego, co obie ręce miał lewe, a nogi obydwie—prawe,—i poszli w świat „i Bóg kulał i człowiek kulał, a żaden za mało, a nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało“.

Brylantami jednakże oszlifowanemi w sposób mistrzowski są w zbiorze Leśmiana dwa wiersze: „Dąb“ i „Łąka“. Niezapomniane zwłaszcza wrażenie pozostawia ów dąb, grający pieśń od wnętrza zieloną, że aż Bóg przybył skądinąd niebywały w tej porze, by posłuchać nadzwyczajnego organisty. I „odkiedy świat światem, a śmierć jego obrębem, poraz pierwszy Bóg płacząc, obejmował się z dębem“.

„Łąka“, jako wyraz stopienia się duszy poety z duszą przyrody, jest czemś niespodziewanem zupełnie w poezji polskiej doby wczorajszej i dzisiejszej.

CZASOPISMA.

„ZDRÓJ“ — zeszyty 3 i 4 — Sierpień — 1920.

„ZDRÓJ“ wymaga osobnego omówienia. Pismo, na które rzucają się wszystkie kumoszki literatury polskiej, zasługuje już tem samem na najżywsze uznanie. Poziom—nierówny. Obok utworów przeciętnych—rzeczy o wyższej skali. Interesujące, jako jedyna tego rodzaju próba wykrystalizowywania talentów na tle najnowszych prądów w sztuce. Jedyne — poza tem czasu wojny — pismo, utrzymujące kontakt z sztuką europejską. Ostatnie dwa zeszyty przynoszą cały szereg ciekawych prac — dociekań z dziedziny piękna. O ileż mocniej np. brzmi w „Zdroju“ słowo wstępne Olwida od artykułu naczelnego w „Nowym Przeglądzie“. O ileż — silniej odczuwa się w tym manifeście „Zdrojowym“ łączność sztuki z macierzą Polski od szumnych frazesów na nutę patrjotyczną w „Nowym Przeglądzie“.

Na specjalne wyróżnienie zasługują dwa dramaty analityczne: „Pragmatyści“ — Stanisława Jerzego Witkiewicza i „Śluby ziemi“ — Jerzego Hulewicza, istne studja z dziedziny nietyle psychologji, ile sztuki nowoczesnej. Poza tem nieprzeciętnego czytelnika w podziw wprawi cykl interesujących artykułów z dziedziny krytyki literackiej pod ogólnym tytułem „Szczyty“ pióra Jana Stura, tak w tem studjum wszystko—odmienne i niepodobne do tego, czem nas karmiła i karmi owa „krytyka literacka“, pokutująca na szpaltach wielkich dzienników polskich.

Można bardzo wiele zarzutów postawić „Zdrojowi“, ale gdy się zważy w jakich warunkach pismo to powstało, wśród jakiego otoczenia żyje i jaką atmosferą oddycha, o wszystkiem wówczas się zapomina, aby złożyć należny hołd rzetelnym wysiłkom i istotnej zasłudze.

WIECZORY AUTORSKIE „GOSPODY POETÓW“

Jednocześnie z ukazaniem się w druku pierwszego zeszytu naszego pisma, Redakcja „Gospody Poetów“ rozpoczęła cykl wieczorów autorskich oraz wieczorów dyskusyjnych.

Pierwszy taki wieczór, w którym wzięli udział osobiście odczytując swoje najnowsze rzeczy Xawery Glinka, Edward Kozikowski, Radosław Krajewski, Wanda Melcer-Rutkowska i Emil Zegadłowicz—odbył się w sali Tow. Hygjenicznego dn. 10 października.

Następnie w lokalu Polskiego Klubu Artystycznego odbywają się stale tak zwane „środy poetyckie“. Pierwsza środa była poświęcona twórczości redaktora „Gospody“ Xawerego Glinki, którego utwory prócz autora odczytali znakomity artysta Stefan Jaracz i Janina Zarzycka. „Opowieść o młodym nurku“ w interpretacji p. Zarzyckiej wywarła wielkie wrażenie. Słowo wstępne o twórczości Glinki wypowiedziała Wanda Melcer-Rutkowska.

Następna środa była poświęcona dyskusji nad zagadnieniami nowej poezji. Dyskusję zapoczątkowało przemówienie p. Radosława Krajewskiego.

Ostatnia środa poświęcona była poezjom Radosława Krajewskiego. Mówili o Krajewskim X. Glinka i W. Melcer-Rutkowska, zaś poezję jego deklamował p. Jastrzębiec-Rudnicki. Wieczór zakończył się ciekawą dyskusją.

W najbliższe środy publiczność będzie mogła się zapoznać z całokształtem twórczości Wandy Melcer-Rutkowskiej, Emila Zegadłowicza, Edwarda Kozikowskiego, Jana Nep. Millera i innych najbliższych współpracowników „Gospody“. Środy poetyckie pozyskały już swoją stałą, bardzo miłą publiczność.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Fr. Błotnickiemu. Z nadesłanych wierszy drukujemy „Ja krwią serdeczną piszę“. Prosimy o rzeczy wyraźniejsze, bardziej oryginalne.

P. Kikimorze. Bezstronnie — w koszu.

P. Irze Iwiczównie. Nie do druku.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Adres Redakcji: **Warszawa, Śniadeckich 23 m. 16, telefon 159-09**
Skład główny w księgarni Trzaska - Evert - Michalski w Warszawie, Krakowskie - Przedmieście (Hotel Europejski).

Cena zeszytu mk. 15.—

Redaktor-Wydawca: **XAWERY GLINKA.**

Druk. „Rola“ J. Burlana, Mazowiecka 11.

na Kraków:



GOSPODA • POETÓW

MIESIĘCZNIK POETYCKI

Zeszyt 3. **Grudzień, 1920 r.**

KONKURS „GOSPODY POETÓW"

Najmłodsza poezja polska, jej nowe kierunki i kierunków tych koncepcje—coraz szersze budzą w Polsce zainteresowanie. Publiczność kupuje książki młodych poetów, uczęszcza na wieczory autorskie, bierze udział w dyskusjach urządzanych przez różne grupy poetyckie — ze wszystkiego jednak widać, że nie orjentuje się w całokształcie wysiłku najmłodszej generacji poetów. Niemniej i młodzi poeci polscy nie zawsze uświadamiają sobie własne cele i drogi, któremi twórczość ich kroczy w niewiadome jutro. Daje się odczuwać brak objektywnego ujęcia krytycznego przeżywanej obecnie przełomowej doby poezji polskiej.

Chcąc temu brakowi choć w części zapobiedz—pani mecenasowa Róża z Czekańskich Heymanowa złożyła w Redakcji „Gospody Poetów" pięć tysięcy marek, na rozpisanie konkursu na pracę krytyczną, któraby zobrazowała te nowe prądy w poezji polskiej.

REDAKCJA „GOSPODY POETÓW" UZNAJĄC MYŚL P. HEYMANOWEJ ZA NADER SZCZĘŚLIWĄ OGŁASZA NINIEJSZYM KONKURS NA NASTĘPUJĄCYCH WARUNKACH:

1) PRACA MA NOSIĆ TYTUŁ: „NAJNOWSZE PRĄDY W POEZJI POLSKIEJ".

2) Praca nie ma przekraczać jednego arkusza druku rozmiaru „Gospody Poetów".

3) Termin nadsyłania prac upływa dn. 15 lutego 1921 r.

4) Prace powinny być zaopatrzone godłem. Nazwiska autorów w zapieczętowanych kopertach opatrzonych tym samym godłem.

5) Prace należy kierować pod adresem Redakcji „Gospody Poetów“ Warszawa, Śniadeckich 23 m. 16.

6) AUTOR NAGRODZONEJ PRACY OTRZYMA 5 TYSIĘCY MAREK NAGRODY, przyczem druk pracy w „Gospodzie Poetów“ nie będzie osobno honorowany.

7) Redakcja „Gospody Poetów“ zastrzega sobie prawo wydania nagrodzonej pracy w oddzielnej odbitce, za specjalnem honorarjum.

Szczegóły o składzie osobistym sądu konkursowego podamy w zeszycie styczniowym naszego pisma.

W nadziei, że konkurs nasz przyczyni się do wyświetlenia nurtujących obecnie w twórczości poetyckiej prądów, Redakcja „Gospody Poetów“ wzywa wszystkich zainteresowanych do wzięcia jaknajliczniejszego udziału w konkursie.

Ś L U B

I

Śmieje się słońce wiosenne —
Tańczy wiosenny wiew —
Migocą szyby okienne
Różowym blaskiem zza drzew —

Kasztanów nabrzmiałe pąki
Pękają — niby śmiech!
Zapach od pola i łąki
W śródmiejskie ulice wbiegł.

Radosne snują się tłumy —
I dorożkarski koń,
Wyrwany z senncj zadumy
Kochanków wiezie na błoń.

Pęcznieją w korzeniach soki,
Pęcznieje wszystko wkrąg:
Pęcznieją psy i obłoki
I małe palce u rąk.

Miłość szkarłatne swe róże
Rozpina tu i tam —
I pisze na każdym murze
Erotyki — Eros sam...
— — — — — — —

II

A koło Świętego Krzyża,
Tam — gdzie największy ruch —
Gdzie Bóg z człowiekiem się zbliża,
Gdzie z życiem brata się duch —

Oparty o mur kościoła
Łazarz — samotny stał,
Mija go gawiedź wesoła —
Pachnących spódniczek szał — —

Mijają go pensjonarki —
Miesza się zwinny krok — —
A zakochane zaś parki
Wzrok odeń zwracają w bok.

A on do muru przypięty,
Ofiara grzesznej krwi —
Na tłum spoziera odświętny
Z pod ciężko nawisłych brwi.

Miast oczu — ma oczodoły,
Miast nosa — ropny wrzód — —
Nie człowiek to — lecz na-poły —
Syfilityczny to — trup!
— — — — — — — — — — —

III

Krakowskiem idzie pachnąca
Panna — szesnaście lat —
Chłopców spojrzeniem potrąca —
Usta jej płoną, jak kwiat —

Usta jej płoną szkarłatnie —
Pulsuje żywo krew — —
Pierś się rysuje wydatnie —
Krok jej taneczny, jak śpiew —

Jest cała jak młody ranek —
Cała — jak młody bóg —
Ach, gdzież jest, gdzie jest kochanek
Godny jej piersi i nóg?
— — — — — — — — — —

IV

Około Świętego Krzyża
Tam, gdzie największy — ruch,
Gdzie Bóg z człowiekiem się zbliża —
Gdzie z ciałem brata się duch —

Panna się brata z Łazarzem,
Z wiosną — brata się trup!
Przed wielkim Boga ołtarzem
Mistyczny pełni się ślub —

Nad Duchem — Duch się lituje:
— Łazarzu! Powstań rad!
Panna go w usta całuje,
Śmiertelny przyjmując jad — —
— — — — — — — — — —

V

Śmieje się słońce wiosenne,
Tańczy wiosenny wiew —
Migocą szyby okienne
Różowym blaskiem zza drzew.

Xawery Glinka.

ŚMIAŁABYM SIĘ

Jak stara kaczka, myśl podlata
Dążąc do ciemnego błota;
Za skrzydła — fałszywa cnota
I bezpłodna rąk robota
I nienawiść ras...

Śmiałabym się z tego świata,
Śmiałabym się z was!...

Jako psy o kawał gnata,
Codzień gryzą się te stada.
Handlarz dziwy opowiada,
Rzeźnik trzodzie wzniośle gada
O wszechwładztwie mas...

Śmiałabym się z tego świata,
Śmiałabym się z was!...

Wanda K. Grodzieńska.

O ZIEMI O...

Przed mą ziemianką łan żyta,
Łan żyta w słońcu się złoci
Spokojny, cicho szumiący,
Pełen kojącej dobroci.

W niedzielę chłopskim zwyczajem,
Gdy ze mszy wracam pułkowej,

Obchodzę łan ten dokoła,
Słodkiemi pieszcząc go słowy.

A on się chwieje, faluje,
Odchodzi, wraca, kołysze,
Niesie mnie, niesie daleko,
W rozsłonecznioną pól ciszę...

A on mnie niesie, ponosi,
W uśmiech mnie z sobą jednoczy
I tak wędrujem już razem,
Gdzie wiatr chce, gdzie niosą oczy.

I radujemy się razem,
Jak dzieci-kwiaty na łące,
Płynąc w bezkresy ułudy,
W odmęty, jak my, marzące...

Bo jakże? Czyż nie myślałem,
Czyż nieraz tak nie myślałem,
Że tu już nic nie wyrośnie
Na tem piasczysku spłowiałem?

Że na tej pustce poleskiej,
Gdzie Śmierć najgrubszym jest gazdą,
Człek, co stąd w dal wywędrował
Pod złą urodził się gwiazdą?

Czyż nie bluźniłem, mój Boże,
Że na tej głuchej polanie
Mój jeno smutek-przybłęda
Panem samotnym zostanie?

Że ziemia, ogniem zorana,
Wojnę wypowie naturze
I płód w swem łonie zabije,
By burze zbierały burze?

Aż ci tu — jak po namyśle —
Niepilną, późną już wiosną
Łany ożyły zdeptane
I oto żyta mi rosną!

Pośród okopów i drutów,
Pod ogniem, co śmiercią zionie,
Ziemia jak matka-wygnanka
Płód wypieściła w swem łonie.

I rośnie, kwitnie, dojrzewa —
Swym oczom prawie nie wierzę,
Że tu, gdzie straże Śmierć dzierży,
Trzeba obmyślać śpichlerze...

O ziemio, matko rodząca,
Przemądra w swojej dobroci —
Przed mą ziemianką łan żyta,
Łan żyta w słońcu się złoci...

O ziemio, matko rodząca,
Niepokonana w swym trudzie —
Łan żyta w słońcu się złoci,
Hymn śpiewa boski o cudzie!

O ziemio, matko rodząca,
Krwią obryzgana Człowieka —
Oto ma dusza strudzona
Na zwiastowanie tu czeka...

Feliks Gwiżdż.

S T R A C H

Przyczaił się chytrze do skoku,
za szafą w ciemnościach się tuli,
w widmowej śmiertelnej koszuli,
strach — upiór o jednem złem oku.

Ktoś zadrżał — kto tutaj się boi?
Ktoś w mroku porusza się zcicha,
w posadzce coś jęczy i wzdycha,
ktoś wraca z odległych pokoi.

Strach wczołgał się cicho na ścianę,
rozłożył się długi — bez brzucha,
firanką porusza i dmucha
i oko wytrzeszcza spłakane.

Wzdłuż mebli się snuje bezgłośnie,
myśl tępo się skręca i waży,
—jak straszno zapomnieć swej twarzy!
strach upił się męstwem i rośnie.

Zatoczył się, chwycił pod gardło:
ssie usta zmartwiałe i zmięte.
Ktoś do drzwi zastukał — zamknięte.
Ktoś krzyknął — zadrgało i zmarło...

Stanisława Iwańska.

NA ZAKRĘCIE

Na zakręcie,
ścigany przez lamp łukowych gwizd,
i tuman mrozu,
kłujący rzędem nastawionych pik
zawzięcie.

Oczy, uszy, ręce i nogi
obolałe,
skurczone, jak zeschnięty liść —
ze zgrozy.

Syreny wark, motoru syk.
— Z drogi, z drogi...

Różnobarwne szyldy, jak kolory
francuskiej republiki:
czerwone, niebieskie, białe.
Wiecznie to samo:
w ranki, południa i wieczory.

Latarni gwizd.
Apteki, księgarnie, sklepiki...

Szmer stóp po asfalcie —
tysiące —
w futrze, bez palta i w palcie,
samotnie albo z damą.
Sanki dzwoniące
nieśmiało, niepewnie.

Ha, ha, ha, ha, ha...

Tyle książek, tyle mięsa,
tyle tytoniu,
że warto zawieść indyjskiej królewnie,
choć tam kosztuje pół pensa
i jeszcze powiozą na koniu.

Lampy łukowe,
apteki, jatki, cukiernie
i kina, —
codziennie i przy święcie,
okrągłe i kwadratowe,
jak domina —
na balu lub w tawernie.

Syreny gwizd, motoru syk,
w ulic lochu
krzyk:
samochód
na zakręcie.

Edward Kozikowski.

TRAGEDJA

Na papierze konto-korentowym,
w kratkowanych tu i tam rubrykach,
cyfr rozsnuwać długie korowody,
pisać, pisać—jak zegar—bez liku.

Potem czarne kolumny i rzędy
na liczydłach dodawać i mnożyć —
wzdłuż i wpoprzek, tędy i drugędy,
od świtania do gasnącej zorzy.

Skaczą gałki w liczydłach i trzeszczą,
trzeszczą gały człowiecze na papier,
czyli wszystkie cyfry się pomieszczą,
i czy której wśród nich nie zabraknie.

Skrzypi pióro, jak stary dyliżans,
czarne gałki z żółtemi się tłuką,
jedna drugiej bezczelnie ubliża
aż się cyfry śmieją do rozpuku.

Liczą oczy bez przerwy i palce:
co dziesiąta, to — inna figura, —
losy każdej ważą się na stalce,
choć wbrew woli powstaje niektóra.

Liczą oczy i palce zmartwiałe
ze zmęczenia, — bywają wypadki, —
że zabraknie na liczydłach gałek,
że nie starczy cyfr na wszystkie kratki.

Edward Kozikowski.

NIE TO, NIE TAMTO...

Nie to, nie to, — nie tamto:
z zapachem — bez zapachu, —
by świat oświetlić lampą
z przeciwległego dachu.

Od brzegu, gdzie nie widać
nikogo prawie nawet,
na utrudzonych kiwać,
by przyszli na zabawę.

I ogień w noc rozniecać
słońcem, zbieranem skrzętnie
w ten skautowski plecak,
co zwisł na ścianie smętnie.

I przez wypadłe sęki
w parkanie gospodarskim —
podpatrzeć pola, łęgi
i słońca skośne blaski.

Nie to, nie to, nie tamto,
co krzywi się nad rzeką, —
czy świat oświetlić lampą,
gasnącą pod powieką,

czy z pod rzęs niedomkniętych —
na górze albo w dole —
śledzić dna rzeczne męty
lub przepoconą rolę.

Dlaczego zawsze jedno,
a nigdy dwa w odlocie:
nie to, nie to napewno,
nie tamto na zapłocie.

Słońce pod rękę z lampą
w daleką poszło drogę:
może to, może tamto,
ale już nie odłogiem.

Edward Kozikowski.

NOWE NIEBO I NOWA ZIEMIA

Nie w nich, nie...
Nie śród owych mnogich religijnych
znaków,
zdobiących kunsztownych chramów
głusze,
nie w ewangeljach natchnionych
prostaków,
ale w was doktorzy, rektorzy,
uniwersytetów pomazańce,
ze wszystkich świątnic wygnańce,
ikarowych wzlotów zaprzańce,
w matołów przerodzone genjusze,
borzobohaci kaci, renegaci, ateusze,
którzyście nie byli zdolni nic, nic
umiłować
i samowładnej mózgu ciasnocie
wszechtwórczą, boską zaprzedali duszę,
w was są te nędze-jędze, bierność-
biedność,
pustki, głusze.
I tacy są wasi święci i heroje
i niebo, któreście zbudowali
na podobieństwo i wyobrażenie swoje.

Śród nieba waszego czarnych smug
siedzi ślepy, okrutny bóg,
który w pogardzie was ma,
wasze marzenia, poezje i czyn,
was — rabów, zakutych w nieskończone
pasma
skutków i przyczyn,
i który bezlitośnie was karze
za wszelkie myśli w nowym wymiarze,
za nowe wnioskowań możliwości,
i który rzechta swe kłamstwa chochole,
że życie wasze — to tylko bóle,
że życie wasze jest jedną chwilką
i posłuszeństwem, posłuszeństwem
tylko
dla Konieczności.
Carica-Konieczność
na nieba waszego siedzi przestole.

Bóg przed wieków wiekiem,
nim początek początków jął z siebie
był nieść,
nim jął cześć
dekalogi praw i ocen,
nim wydał dewon, pliocen, miocen,
jeszcze tragiczniej tęsknił za
człowiekiem
i tęskni, tęskni,
bo tylko przez człowieczeństwo mocen
wypowiedzieć swoją najcenniejszą treść.

Ja — poeta,
com z tęsknicy boga wzrósł,
ja — boskich pragnień wyraz i mus,
na bojowy staję wóz.
Na bój! w bój! — wzywam swe woje-
heroje,
taranami nowych prawd
waszą, skazaną na zagładę Troję,
wasze niebo bezgwiezdne
w gruz
walę, w bezdnę.
Dajcie luz:
jąłem budować nowe niebo
na podobieństwo i wyobrażenie moje.

To nie jest niebo, gdzie bóg-autokrata
bagnetem i okłamów misterną przędzą
panuje nad raba — swego nędzą:
To niebo moje wzwyż się zamyka,
niby kosmosu wawelska korona.
To — republika,
polska rzeczpospolita wyzwolona,
skrzydla rzeczpospolita świata.

Ideje-koncepcje o wszechbycie
wszystkie,
związane ze sobą przez tysiące przejm,
— to nieba mojego obywatele.
Śród nich się ściele
tęskność boga za człowiekiem.
Tęskność ta —
to nieba suwerenny sejm.
Zuchwałością twórczości
pałubę ślepej Konieczności
rozbijam, jak wewnątrz puste i ciemne,
gliniane naczynie.
Pełen słońca,
co z trudów świeci Tartarosu,
od ninie
kręgosłupem kosmosu
człowieczeństwo czynię.

Niech w was, przeżartych chemią-
anemią,
te kształty nieba nowego się plemią,
byście budowali na nieba wzór nową
ziemię:
Stwórca nieba i ziemi dojemnie
zatęsknił za nowem niebem i za nową
ziemią.

Radosław Krajewski.

DWUGŁOS O RĘKACH

— O, ręce! o, ręce!
— Chamskie
— Twarde
— Szorstkie, jak glina
— Ziemią znaczone
— Do pługa lub do karabina.
O, rączki
Damskie
Zdobne w pierścionki,
W bluzek koronki
I rękawiczki
Jedwabne.

Ręce artysty
Smukłe, nerwowe,
Światoburcze,
Cudotwórcze.
Ręce złodzieja
Chybkie i zwinne,
A niespokojne,
A pożądliwe,
W brylanty strojne,
Chwytliwe,
Czujne i pilne,
Chybkie i silne.

Rączęta
Pulchne i białe,
Rączęta małe,
Dziecięce.
O, ręce
Mnisze,
Niosące ciszę,
W modlitwie zgięte,
Słodkie i święte.

Ręce umarłych
Zimne, woskowe,
Ręce grobowe,
Ręce kamienne,
Ręce niezmienne,
Ręce trumienne.
O, ręce! o, ręce!
O, ręce! — —

Tadeusz Łopalewski.

MARZENIA DONŻUANA

GUSTAWOWI OKOŃSKIEMU

Spotykam cię i tu i tam —
W tramwaju,
Na ulicy,
W cieniu bram kamienicy,
Ciebie jedną znam
Z pośród wielu dam
Całej stolicy.
O dzięki ci, o dzięki za rozkoszy tyle,
Gdy się oczy nasze spotkają na chwilę!
Czasami jesteś pensjonarką,
Blondynką pełną wdzięku, —
Mijasz mnie szparko
Z książkami w ręku.
Czasem jesteś wysoka,
A czasem — w miarę,
Czasem masz oczy niebieskie,
Niekiedy — szare.
Czasem jedziesz samochodem
I jesteś wielką damą,
Lecz zawsze jesteś jedną
Jedną i tą samą.
Tylko bruździ nam ciągle fatum niezwalczone,
Że nigdy nie idziemy razem w jedną stronę...

Tadeusz Łopalewski.

ZAROZUMIAŁOŚĆ

I cóż mi możecie zrobić,
cóżby tu na mnie poradzić?
Wśród papierowych obić
jakżeby tu mnie, jak kwiatek na ścianie, przygładzić?
Jakaż tu na to rada,
że sobie żyję na świecie?
Największy trud sobie zadać,
a zrobić mi nic nie możecie.
Nie zegnę się, ani złamię,
jak z najlepszej stali klinga,
obok gdzieś sobie chodzę wśród czarodziejskich omamień,
jak dziki kot u Kiplinga.
Już samo to, że istnieję,
jest przeciw wam protestem:
stanęłam na wielkim placu
i oznajmiłam, że jestem.
Cóż wy zrobicie z taką,
na jakie wpiszecie mnie listy,
że chcę mieć i kota, i perły,
i chcę być prezesem ministrów?
Nie zabijecie mnie kulą,
ni mieczem, jak Heljogabal:
ja przecież jestem młodością
i idę tańczyć na bal.
Minęłam was, przeszłam mimo,
żyć mi się strasznie podoba,
młoda jestem i piękna,
och, jakże piękna i młoda!

Wanda Melcer-Rutkowska.

L A S E C Z K A

Piastowały cię dłonie pieszczone,
oplatały twój chwyt białośnieżny,
hołubiły w bezmiernej czułości
w ciszy niemej, zastygłej, lubieżnej.

W skwar czerwcowy letniego południa
biły tobą o bruki uliczne,
wśród powozów i aut zawieruchy,
ręce białe, wysmukłe, prześliczne.

Ratowałaś swej pani zadumę,
w wieczór cichy samotnie kroczącej,
przed zaczepką czelnego galanta,
znacząc ślad mu na pysku krwawiący.

Nocą—w snów jej rozgranej wichurze,
o laseczko, w kąciku stojąca,
byłaś grotem strzelistej tęsknoty,
co jak krew się przelewa gorąca.

Pod gwiaździstem sklepieniem kawiarni,
w krzyżujących się spojrzeń nawale
podpierałaś swej pani podbródek,
lustrującej z pod ronda zuchwale.

Z szyjką zdobną jedwabną wstążeczką,
smukła, płonna od skówki do chwytu
jesteś snem o pielgrzymich bezkresach,
o skruszonych opokach z granitu,

o wędrówce przygodnej, huczącej
tunelami podziemnych kolei,
gdy nad głową wir życia się kłębi,
wtórząc sercu łoskotem nadziei.

Jan Nepomucen Miller.

H E R O O N

Twarzą na Zachód zwrócony, w głuchego otchłań milczenia
głąb nienazwaną patrzący,—oczyma we krwi zgubiony
gasnącej zorzy pożarów nad słońca dyskiem zapadłym,
usta swe skłaniam do szeptu świętej modlitwy wyrazów.

Wino złociste i mleko, wonnej oliwy kratery,
źródlanej wody zdrój czysty i miodu sople pachnące
do jamy zlewam głębokiej cieniom padłego w ofierze,
na drzewcu włóczni śpiącego, pod wierną głazów opieką.

Mirtu gałązki pogrzebne skały opięły podnóże,
błyszczących listków koroną niezgasłej chwały strzegące;
wyniosłe czoło cyprysu w niebo wystrzela skrwawione,
jak czynu posąg podniebny nad snem herosa szemrzące.

Twarzą na Zachód zwrócony świętych zawołań wyrazy
zorzy powierzam gasnącej i krwawym łunom szkarłatu —
błogosławiącej modlitwy szept uniesieniem dziękczynny
całuje biel marmurową, mirty i smętek cyprysu...

Jan Nepomucen Miller.

P O S Ł A N I E

Któryś obciążon jest koszem owoców
albo walizką podróżną;
ty, który świata bryłę na ramionach
dźwigasz
lub własną kosmiczną swą dolę;
który wysiłkiem rozprężonych ramion,
świszczącym oddechem utrudzonych
piersi,
mozołem mdlejących rąk
brzemię swe dźwigasz, o bracie,
w samotrudzie, ucisku, postęku —
bracie samotny —
pielgrzymie rozstajnych dróg,
sprzymierzeńcze, czy wrogu mój!...
Kimkolwiek jesteś lub byłeś lub
będziesz,
czyś świętokradcą, czy świętym,
czy masz paznokcie błyszczące, różowe,
czy pracą zdarte —
o bracie samotny —
sprzymierzeńcze, czy wrogu mój,
spójrz w moich źrenic złotawe rozbłyski,
na ich daleki, niebosiężny wgląd —
i na mej chaty progu
w pokoju siądź.

Nikt stąd nie odszedł w bezeczci —

czy sprzymierzeniec, czy wróg,
czy prawdy mej człowieczej żądny,
zbłąkany na rozstaju — Bóg.

Jan Nepomucen Miller.

K A C E R Z

Kiedy wioską przechodzi, psy w ślad za nim wyją,
szczerzą zęby, gdy rzuci im kawałek chleba.
Nie stać go na szmat ziemi, ni na skrawek nieba,
domem mu rów przydrożny, gdzie się węże kryją.

Za grzech pono śmiertelny, przed dawnemi laty,
ktoś go wygnał w noc chmurną ze spalonej chaty,
by kraju ojców swoich nie kaził oddechem,
a on w pustkę wygnania szedł dumny tym grzechem.

Deszcz jesienny, co barwy zdjął z szat potarganych,
nie zagasił mu w oczach posępnego żaru.
Idzie światem, niepomny swoich klęsk bezmiaru,
szuka zwątpień wciąż nowych i prawd niezbadanych.

Bywa, że stanie w polu i gwiazd o coś pyta...
bywa, że go zwierz dziki przyjaźnie powita...
Czasem siądzie przy drodze o wschodzącej wiośnie,
gdzie go zioła trujące oplotą miłośnie.

Albo tuli płonącą twarz w kwitnące ciernie...
Nie zna kresu. Aż kiedyś znużony niezmiernie,
jak pies zbłąkany padnie, gdzieś pod obcym progiem,
i przez sen śmierci jeszcze będzie walczył z Bogiem.

Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska.

HEKATOMBY

Lubię spokój i niewielką przestrzeń mego biurka,
Przy którem siedząc, zaklęciem, mnie tylko wiadomem,
Jakgdyby za pociągnięciem marjonetek sznurka,
Roztwiera się przedemną życie — z całym ogromem
Klęsk, rozpacznych zmagań i z owym wiecznym, wewnętrznym
Sprzeciwem miłości, nienawiści, zła i dobra,
I z niedosytem pożądań, wciąż wiosennie pęcznym
I z tą walką, którą chlubi się dewiza chrobra,
A jak świat starą, bezmyślną, głupią, bezcelową — — — —

Lubię moją odległość od tej czynnej, zażartej
Rozprawy elementów, na co tylko otwarte
Oczy moje patrzą, dla czego mam tylko słowo
Pełne pogardy, wstrętu — — —

Lubię zaostrzony
Ołówka mego koniec, czy flaszkę atramentu,
W której się nurza pióro. I jestem tak wzruszony,
Gdy słowa me pełne myśli i temperamentu,
Pełne szyderstw, czy zgrozy, protestu i rozpaczy
Przekreślają wreszcie wszystko, co tak wiele znaczy,
O co się biją ludy, kraje, sekty i rasy,
Dla czego się wieki długie kultura utrudza,
A ludzie się rozpadają na społeczne klasy,
Czem się nawet umysł wielki, genjalny zabrudza — — —

Lubie tę obcość moją — i czuję się wygnańcem,
Skazanym na osiedlenie na wyspie odludnej,
Gdzie morska mnie tylko fala zabawia swym tańcem,
I gdzie mi śnić wolno o złotej erze, przecudnej,
Pełnej ludzi szczęśliwych, równych sobie w braterstwie,
Nieświadomych zawiści, ani nawet zaszczytnych
Porywów idealnych, w ponurem bohaterstwie
Kąpanych i zdobywanych krwią w wyprawach bitnych.

Niema tego, niema! — — — Tylko z mej piersi gorącej
Rytmu potężną pieśnią — szczęścia się hymn wyrywa!
Na fale swe zielone, och, morze go porywa
I niesie go do tej dali walczącej, tęskniącej,
By głosił wielką ciszę, uspokojenie wieczne
I nęcił ku sobie — ciągnął skłębione, rozżarte
Tłumy i w głębie zanurzył je morskie, rozwarte,
Gdzie koniec mieć będą wszelkie żądze niedorzeczne!

Wydzwania mój hymn godzinę końcową, ostatnią,
Godzinę wspólnego kresu wszystkich ludzi społem!
Nad ich bezlikiem ciał ocean potężnem kołem
Krąg zatacza — — — i pieni się nad mogiłą bratnią — — —

Lubię tak przy mojem biurku, na białym papierze
Spełniać okrutne czyny, olbrzymie, fantastyczne
I szczęściu mi nieznanemu w zbyt hojnej ofierze
Składać, jak hekatomby — me wizje poetyczne.

J. Stycz.

N I E D Z I E L A

Niedzielo, niedzielo, oczekiwany dniu
po biurach i po pracy!
Niedzielo rankiem i popołudniu!
Kołace się, kołace
pośród mych czterech ścian
nuda — — — — —
Wiruje jej tan
od kątów po sufit, po podłodze — — —
A moja całotygodniowa złuda
i myśli moje w drodze
do biura o tej niedzieli? — — —
Jak przy stukocie kądzieli
szara się przędzie nitka,
do tego samego zwitka
wrażeń jednakich i smutnych — — —

Chciałbym jakichś wydarzeń [bałamutnych,
radosnych, krzykliwych!
Spojrzeń dziewczęcych, zdradliwych —
Na złotej wodzie płynąć wśród [śpiewów —
Być celem zazdrosnych gniewów
zwyciężonych kochanków —
A potem — wśród pełnych dzbanków
w hucznej szynkowni rozpowiadać,
gadać
kłamane życia mego dzieje —
Niech się na chwilę rozwieje
codzienność!
I bosonoga tancerka: Zmienność
wyskoczy mi na kolana
i tańcząc swego kankana,
stopami dotknie mi czoła —
Niech dookoła
rozśmiani ludzie
w pijackiej wyją budzie,
pięściami o stoły biją!
Chciałbym z skręconą szyją
niedzielny zakończyć dzień!! — —

A tylko cień
po oknach moich się wije
i życie moje gnije
w podwórzowym zaduchu.
Siedzę w bezruchu
niemocen wstać i pójść —
Nie mógłbym nawet do drzwi dojść,
by wyjść na świat, na ulicę — —

Słyszę z daleka walącą konnicę
i pieśń jej o srogiej wojence — —

Słyszę, jak w strasznej męce
z gramofonu gardzieli
wychrypia arja Jontka — —

I tak z mojego kątka
używam sobie niedzieli.

A kiedy mrok zapada
wciąż nuda mi się spowiada
z swoich cichutkich, rzewnych żali
które, jak wielkie, wielkie fale,
obręczą mnie ściskają wkrąg — —
Czuję, że skroni mych i rąk
czepia się obłęd, ima strach!!!
I tylko ulgi szukam w łzach — — —

J. Stycz.

Z A L U S T R Z A N Ą S Z Y B Ą

Czy pamiętasz? Tak. Złoty czas:
Bzu białego kwitły kiście —
Wiosna wkoło — radość w nas...
A dziś? — —
— Za lustrzaną szybą
Wiatr hula, miota liście.

Więc pamiętasz... Tak... Minął czas:
Bzu białego zeschły kiście —
Przeszła wiosna — pustka w nas...

Więc co? — —
— Za lustrzaną szybą
Wiatr hula, miota liście.

Kazimierz Tułacz.

KRYTYKA

KSIĄŻKI.

JAN LEMAŃSKI — „TAO" — wyd. „Ignis" — Warszawa 1921 r.

Uważny czytelnik, śledzący przemiany, zachodzące w twórczości tego wybitnego poety, zamknie bezwątpienia „Tao" z uczuciem zniechęcenia. Poeta z bożej łaski, olśniewający czytelników perłami poezji w bajkach swych, umieszczanych w „Chimerze", z latami staje się nudnym, typowo warszawskim i typowo gderliwym literatem polskim. Kto przypomni sobie „Bajki" i „Colloquia" i porówna poezje, zawarte w tych dwóch tomach, z utworami Lemańskiego z ostatnich lat, nie zapisze ostatniej doby twórczości na korzyść poety. Czemu przypisać to obniżenie skali twórczej poety,—czy wrodzonej skłonności do refleksji, czy poprostu wygaśnięciu źródeł twórczych? Mam wrażenie, że ani jedno, ani drugie nie odegrało żadnej roli poważniejszej w całokształcie twórczości Lemańskiego. Ten wielki satyryk, smagający biczem wybitnej ironji i sarkazmu, marazm kołtuństwa i kabotynizmu w Polsce, z czasem sam uległ tej zakaźnej chorobie i ani się spostrzegł, jak zaczął drukować co tydzień swe bajki, coraz bardziej gadatliwe i nudniejsze i w „Kurjerze Warszawskim", i w „Tygodniku ilustrowanym" i stał się z latami zabawką Bi-ba-bo w rękach warszawskiego mieszczaństwa i rozradowanej kołtunerji.

Skłonności filozoficzne Lemańskiego niewątpliwie znalazły ujście w przekładzie systematu Laotsego, dokonanym b. starannie w tomiku „Tao". Rzecz prosta, twórca „Żórawia i wołu" i „Morza" nie może się nawet równać z dzisiejszym Lemańskim. Z drugiej strony niewiadomo, w jakim celu dokonano przekładu tej znanej powszechnie filozofji Laotsego, która dzisiaj — nawiasem mówiąc — budzi tylko wzruszenie ramion i uśmiech politowania. Poezji w tomiku „Tao" nie znajdzie nikt na lekarstwo. Tłómaczył zaś go poeta. Poco i w jakim celu?

„LIRYKA ROSYJSKA. Serja I. Balmont i Briusow" — wybrał i przełożył J. Tuwim. Wyd. Tow. „Ignis" — 1921.

Zdawałoby się, że nareszcie po długiem oczekiwaniu luka w dziedzinie przekładów z poezji rosyjskiej czasów ostatnich zostanie wypełniona. Nazwisko Tuwima, jednego z najbardziej utalentowanych poetów polskich doby obecnej, dawało rękojmię, że braki te zostaną usunięte w sposób wysoce zadawalniający. Tymczasem pierwszy tomik przekładów przynosi pod tym względem zdumiewające rozczarowanie. I Balmont i Briusow reprezentowani są w szeregu najsłabszych i drugorzędnych wierszy. Zaledwie tu i owdzie błyśnie jakaś perełka w postaci „Konia płowego" lub „Spotkania", przytłaczająca jednak większość miernych utworów nie daje czytelnikowi nawet wyobrażenia o tych dwóch wielkich indywidualnościach.

Podobny wybór poezji rosyjskiej, dokonany bezładnie i uwzględniający przedewszystkiem wiersze nadające się bez wysiłku do przetłomaczenia, jest zupełnie chybiony i wywiera wrażenie pracy, wykonanej na kolanie. Wrażenie to potęgują jeszcze przebijające tu i owdzie pewne uchybienia stylistyczne, których przecie przy staranniejszem opracowaniu można było uniknąć.

„Liryka rosyjska", jako praca zakrojona na szerszą skalę, nie odpowiada nawet w cząstce swemu założeniu.

J. STUR.—„ANIMA NOSTRA“„—TRIUMFY“.—Wydawnictwo „Zdroju“, 1920.

Jan Stur jest poetą-teoretykiem, o czem świadczą liczne jego prace krytyczne i notatki polemiczne w „Zdroju“. Nie jest on jednak teoretykiem-akademikiem, zastygłym w bezruchu, po raz już postawionej tezie. On sam, w swej twórczości poetyckiej szuka drogi ku konstrukcji przez siebie nakreślonej, trzebiąc bezlitośnie zastarzałe nawyki i w spuściźnie przejęte wskaźniki literackie. W „Anima nostra“ owe zmagania się z samym sobą dotyczą zarówno formy, jak i treści. W „Triumfach“ widzimy, jak wielki krok naprzód uczynił poeta i jak bardzo blizkim jest już urzeczywistnienia a priori skonstruowanej teorji. W kilku słowach nie da się oczywista określić ogrom zagadnień, któremi interesuje się poeta. Nie unika on częstokroć i tematów nikłych, ale zawsze patos jego natchnienia nadaje im piętno wielkości. Odnosi się wrażenie, że natłok myśli i uczuć rozsadza więź formy i słowa. W poezjach Stura szumi i huczy burza, przewala się, niszcząc, po wszystkiem, co potąd prawem leniwego bezwładu było niejako uświęcone. Oba tomy są jednym z najbardziej interesujących przejawów naszej nowej twórczości poetyckiej.

J. WITTLIN.—„HYMNY“.—Wydawnictwo „Zdroju“ 1920.

„Hymny“ Józefa Wittlina mają w sobie coś z dźwięku akordowego organów, brzmiących w mroczni gotyckiej. Poeta, wygrywając ból człowieczeństwa, krzywdzonego codziennym niedostatkiem i niesprawiedliwością podziału dóbr doczesnych — używa tonów twardych, zgrzytliwych. Tęsknotę wypowiada buntowniczymi dyssonansami. Wreszcie następuje pastoralne poddanie się Bogu. Krzywda bowiem i radość ogniskują się w boskiej wszechmocy, przemądrej i ogarniającej przytulnie. Powstaje spójnia nierozerwalna — wieczna A kresem jej: istnienie w Bogu, poza życiem. Mimo uznanej konieczności zlania się z bóstwem, poeta nie hamuje swych porywów buntowniczych, daje wyraz sprzeciwowi, wynikającemu z ukochania ziemi i życia na niej. Forma „Hymnów“ jest piękna i prosta, słowa niedobierane a jednak najstosowniejsze.

J. HULEWICZ.—„KAIN“.—Wydawnictwo „Zdroju“ 1920.

„Kain“ Jerzego Hulewicza jest pierwszą może w Polsce sztuką ekspresjonistyczną. Już w konstrukcji scenicznej widnieją olbrzymie inowacje, zmieniające zwłaszcza pod względem dekoracyjnym, dotychczasowy szablon.

Z szablonem, z zewnętrznością walczy autor także przy pomocy ciekawego ujęcia biblijnego tematu. Nie ceremoniał wyraża zbliżenie się do Boga, ale wewnętrzne musi być z Bogiem zespolenie. Ogień, który blaskiem zabójczym zajaśniał na czole Kaina, rażąc śmiertelnie brata — staje się w akcie trzecim (ostatnim) pożarem oczyszczającym świat. Autor problem swój z rosnącą siłą doprowadza do końca.

CZASOPISMA.

„ZDRÓJ“ — zeszyt 5—6 — wrzesień 1920.

Na czele podwójnego zeszytu wrześniowego redakcja „Zdroju“ umieściła poemat symfoniczny Emila Zegadłowicza p. t. „Ralf Moor w obliczu ziemi“. Utwory tego wybitnego poety, który postanowił dotrzeć do najgłębszych sztolni polifonji słowa polskiego i wydobyć na jaw zapoznaną istotę poezji, zaczynają w ostatnich czasach tężeć jakoby w opanowaniu i zdecydowaniu. Z ery poszukiwań gwałtownych, odznaczających się niepokojem i nierównością, przechodzi poeta do ostatecznego opanowania przedmiotu. Ostatnie poematy Zegadłowicza, zamieszczane w „Zdroju“, wyodrębniają się z całego szeregu utworów przygodnych poetów—i bogactwem wizji i muzyką słowa, świadcząc, że mamy do czynienia z poetą rasowym, świadomym swego posłannictwa i talentu.

Z prac innych autorów na uwagę zasługują: wiersz J. Stycza „Zapóźno przyjdziesz“ o głębszym podkładzie filozoficznym, nazbyt skąpo jednak prześwietlony wizją poetycką,—i przekład „Dżatakamali“ Jana Hempla. Oryginalnością i trafnem ujęciem odznacza się drzeworyt J. Hulewicza, przedstawiający Ludomira Różyckiego przy fortepianie.

„ZDRÓJ“ — zeszyty 1, 2 — październik 1920.

Październikowe zeszyty „Zdroju“ przynoszą między innemi ciekawą a nieznaną bliższemu ogółowi pracę Oskara Wilde'a p. t. „Chrystus - Artysta“ w świetnym przekładzie Olwida, — Paula Claudela „Zwiastowanie“ we wzorowem tłomaczeniu J. Iwaszkiewicza i „Wiano“, bajkę dramatyczną J. Hulewicza.

Ostatnie zeszyty „Zdroju“ obfitują w nadmierną ilość przekładów. Nie wydaje nam się właściwem — zapełnianie numerów znaczną większością tłómaczeń, tem więcej, że Polska nie obfituje przecież w pisma literacko-artystyczne. Zapoznawanie ogółu polskiego z perłami literatury obcej, można zapisać tylko na dobro „Zdroju“, uważamy jednak, że nie należałoby przytem zaniedbywać twórczości rodzimej.

„NOWY PRZEGLĄD LITERATURY i SZTUKI“ — № 3 — sierpień - wrzesień 1920.

Po kilkumiesięcznej przerwie ukazał się № 3 „Nowego Przeglądu“, którego pierwsze zeszyty spotkała niezbyt pochlebna ocena w „Gospodzie Poetów“. Niestety i ostatni zeszyt tego pisma nietylko, że nie przynosi żadnych rewelacji, ale zadziwia poprostu uporem, z jakim redakcja proteguje wszelką banalność. Poza bowiem powieścią Conrada „Murzyn z załogi Narcyza“ w przekładzie Lemańskiego, nie możemy — mimo najlepszej woli i pobłażliwości — znaleźć choć jednego utworu, odznaczającego się oryginalnością treści czy ujęcia. Wzruszenie ramion i ziewanie towarzyszy przy czytaniu nudnego wiersza Staffa, noszącego tytuł szumny „Przedśpiew radości“, tak podobnego do całego szeregu poprzednich poezji tego martwego poety. „Sny o potędze“ aczkolwiek były tylko snami, to jednak świadczyły, że poeta wnosi do skarbca poezji nowe wartości. Następne tomy były tylko powtarzaniem ogranych tematów i powolnem staczaniem się po równi pochyłej. Nudne i jałowe są wiersze Mieczysławskiego, wzorowane na Staffie i dlatego prawdopodobnie drukowane w „Nowym Przeglądzie“. Szablonem i niemiłosiernie skrzypiącą piłą opiłowane są przekłady Miriama z poezji Thompsona, nie oddające nawet w przybliżeniu ducha angielskiego poety. Szkoda tych stu kilkudziesięciu stronic zadrukowanego jałowizną i nudą papieru.

WIECZORY AUTORSKIE „GOSPODY POETÓW“

„Środy poetyckie“, poświęcone twórczości współpracowników „Gospody Poetów“, zapełniają stale lokal Polskiego Klubu Artystycznego publicznością, interesującą się rozwojem poezji najmłodszej.

Dnia 10 listopada odbył się wieczór, poświęcony poezji p. Wandy Melcer-Rutkowskiej, na którym utalentowana poetka odczytała swój ostatni poemat p. t. „Pieśń o odzyskanej ziemi“, budząc, dzięki oryginalnemu sposobowi ujęcia przedmiotu, ożywioną dyskusję.

Następna środa, poświęcona była twórczości Emila Zegadłowicza. Znakomity poeta zapoznał zebranych słuchaczy retrospektywnie z całokształtem swej twórczości, odczytując cały szereg poezji. Najwięcej zainteresowania wzbudziły nieznane ogółowi ostatnie ballady, w których poeta muzykę wiersza doprowadził do perfekcji.

Środa — 24 listopada poświęcona była twórczości Edwarda Kozikowskiego. Wieczór poprzedziło słowo wstępne p. Jana Nepomucena Millera, ujmujące w zwięzłem przemówieniu całokształt twórczości poety. Poczem znana artystka dramatyczna, p. Stanisława Umińska, odczytała szereg poezji Kozikowskiego z wczorajszej doby twórczości („Płomyk świecy“), zaś p. Walery Jastrzębiec-Rudnicki deklamował ostatnie utwory poety. Wieczór wywarł głębokie wrażenie.

Ostatnia środa poświęcona była twórczości Jana Nepomucena Millera. Charakterystykę utworów poety dała w dłuższem przemówieniu p. J. Stycz-Naglerowa, poczem utalentowana artystka dramatyczna, p. Stanisława Umińska, wypowiedziała z pamięci cały szereg ustępów z „Achillesa na marach“, budząc wśród słuchaczy niezatarte wrażenie. Wieczór zamknął autor, odczytując ostatnie swe poezje.

Odpowiedzi Redakcji.

P. Irenie H. w Warszawie. Nadesłane poezje do druku w „Gospodzie Poetów" nie nadają się, nie dlatego żeby były bez wartości, lecz że nie przynoszą żadnej nowej zdobyczy. Są to rzeczy raczej poprawne, miłe, jakich tysiącami drukują nasze pisma tygodniowe i codzienne, a nawet lepsze od przeciętnych wierszy w „Tygodniku Il.", — wszakże w „Gospodzie Poetów" nie o takie rzeczy chodzi. „Gospoda Poetów" poprzeć gotowa raczej rzecz nawet słabszą pod względem t. zw. powszechnie „formy", niż zamieszczać rzeczy poprawne, jakich tysiące już było i które nic nowego do poezji nie wnoszą. Co się tyczy utworów pani — to świadczą one niewątpliwie o pewnym talencie, — ale musi pani jeszcze długo nad sobą pracować, aby twórczość pani pozbyła się cech przypadkowości a nabrała świadomej mocy i tężyzny.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Adres Redakcji: **Warszawa, Śniadeckich 23 m. 16, telefon 159-09.**
Skład główny w księgarni Trzaska - Evert - Michalski w Warszawie, Krakowskie - Przedmieście (Hotel Europejski).

Cena zeszytu mk. 20.—

Redaktor-Wydawca: **XAWERY GLINKA.**

Druk. „Rola" J. Buriana, Mazowiecka 11.